

23, rue Taitbout
PARIS (IX)

CENA
PRIX 0,60 F

11 WRZEŚNIA 1966
SEPTEMBRE
Nr 37 (465)

Tygodnik Polski

LA SEMAINE POLONAISE



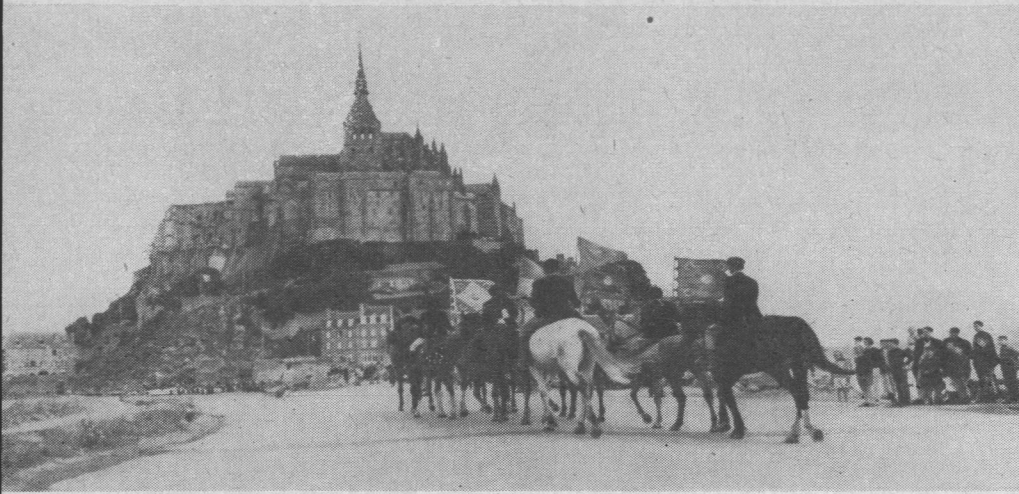
DOM POLSKI w KOERSEL-STAL

na str. 5

POCZĄTEK NA WESTERPLATTE: „Obrona” na str. 6, 7, 8

Członkini zespołu „To i hola” wręcza kwiaty wicepremierowi F. Waniolce. Młodzi artyści zostali zaproszeni do Polski przez premiera Józefa Cyrankiewicza. O pobycie tego zespołu w Kraju piszemy obszernie na str. 12-13.

F-P 8373



Zbliża się 500-lecie założenia przez Ludwika XI królewskiego zakonu Świętego Michała. Stało się to okazją do malowniczych uroczystości na Mont-Saint-Michel, jako że każdą okazję przyciągania turystów należy wykorzystać

Panna Joyce Klitz i pan George Shipp, młodzi Amerykanie z Atlanty, uważali Paryż za najpiękniejsze miasto na ziemi. Toteż w drodze do Szwajcarii zatrzymali się na lotnisku Orly, by... wziąć tu ślub. Świadkowie przylicieci z Nowego Jorku



Ta niezbyt szeroko znana konkurencja „sportowa” polega na umieszczeniu w niewielkim samochodzie „Austin-Cooper” jak największej ilości pasażerów. Rekord świata należał do Amerykanów, lecz pobili go Anglicy. Zdołali bowiem ulokować w „mini-austinie” piętnaście dziewcząt w... „mini-spódniczkach”



Anglik David Lafferty pobił należący do Francuza Michela Siffre rekord długości przebywania pod ziemią. Przebywał bowiem 130 dni w grocie na terenie hrabstwa Somerset, na głębokości 115 metrów. Lektury mu nie brakowało, a specjalny telefon pozwalał mu w ostatnich dniach wyczynu na rozmowy z panią Lafferty



Sławny mim Marcel Marceau nie gra tu żadnej roli. Po prostu lubi bliżej poznać każdy kraj, w którym występuje. W stolicy radzieckiego Uzbekistanu, Tashkencie, nie omieszkał wybrać się na rynek, by zakupić kilka arbuźów



Na widok uroczej Georgette Lemaire, spotkanej w porcie Cannes, sławny cygański gitarzysta Manitas de la Plata postanowił natychmiast okazać jej swój zachwyt. Sądząc po zadowolonym uśmiechu aktorki — cygańska serenada i spontaniczne okazywanie uczuć bardzo wyraźnie przypadły jej do gustu



Niektóre z propozycji mody na sezon zimowy zdziwiły nas i... tych dwóch marynarzy, którzy zastanawiają się, czy może być ciepło w tym aluminiowym płaszczku proponowanym przez Paco-Rabanne. W każdym razie można się ogrzać w wełnianej, długiej sukni z długimi rękawami i w odpowiednio dopasowanych pończochach, jakie poleca Real na zimowe wieczory

▲ Il y a presque 500 ans, en 1469, Louis XI fondait l'ordre royal de Saint-Michel, dont le siège était l'abbaye du Mont-de-l'Archange. Supprimé en 1791, l'Ordre s'est éteint faute de chevaliers. Mais des récentes festivités au Mont Saint-Michel ont voulu prouver à l'intention des touristes — que la chevalerie n'est pas morte.

▲ Deux jeunes Américains d'Atlanta, Mlle Joyce Klitz et M. George Shipp, en route pour la Suisse, se sont mariés... en transit, à Orly. Deux groupes d'amis étaient venus les rejoindre pour la réception intime autour d'un grand gâteau.

▲ Un record du monde assez particulier a été battu au détriment des Américains. La performance consiste à

faire rentrer le maximum de monde dans une petite „Austin-Cooper”. Les Britanniques ont réussi à caser dans une „mini-austin” quinze charmantes jeunes filles, évidemment en mini-jupes.

▲ L'Anglais David Lafferty a battu le record de „vie sous terre” que détenait le Français Michel Siffre, en passant 130 jour à 115 mètres de profondeur dans une grotte du Somerset. Il ne manquait pas de lecture et un téléphone spécial lui permettait, les derniers jours, de communiquer avec sa femme.

▲ Ce n'est pas Marcel Marceau dans un de ses rôles. Le célèbre mime aime voir de plus près les pays où il donne des spectacles. A Tachkent, capitale

de l'Uzbekistan soviétique, il n'a pas manqué de marchander des pastèques.

▲ Ayant rencontré la charmante Georgette Lemaire sur le port de Cannes, le célèbre guitariste gitan Manitas de la Plata, lui a manifesté son admiration par une sérénade.

▲ Certaines collections d'hiver n'ont pas manqué de nous étonner. Ces deux marins se demandent si le manteau en... aluminium doublé que présente Rolande, mannequin du fantasiste couturier Paco Rabanne, tient vraiment chaud. S'ils ont des doutes, nous leur recommandons la robe mi-longue de lainage créée par Réal pour celles qui aiment les longues veillées au coin du feu.

Zdjęcia: CAF i KEYSTONE



ZAGINEŁY W STRASBURGU ZACHOWAŁY SIĘ W KRAKOWIE

CIEKAWY ODKRYCIE POLSKICH UCZONYCH

DRUKARSTWO istnieje od 1440 roku, kiedy to Jan Gutenberg po raz pierwszy zastosował czcionkę. Składana w słowa i zdania, początkowo tylko łacińskie, mogła być wielokrotnie powielana. Był to wynalazek rewelacyjny, jeden z najbardziej doniosłych w dziejach ludzkości. Książka stała się produktem mechanicznym, a nie jak dotąd ręcznym, wymagającym na stworzenie pojedynczego egzemplarza nie raz całego życia. Umiejętność druku szybko się rozpowszechniła. Najstarsze druki miały charakter religijny. Te, które ukazały się przed rokiem 1500, należą dzisiaj do niezwyklej rzadkości i są bardzo cenne. Nazywa się je inkunabułami. W rzedzie krajów o wysoko rozwiniętym drukarstwie znalazły się na przełomie XV i XVI wieku Francja i Polska. We Francji przodowały oficyny Strasburga i Paryża, w Polsce — Krakowa i Wrocławia. Pierwsi drukarze nie szczęśliwie wysiłek, aby wydawnictwa ozdabiać licznymi drzeworytami czy rycinami do książek. O wielu drukach dzisiaj wiadomo jedynie, że istniały, lecz z biegiem wieków zaginęły.

Nic np. nie wiadomo o dwóch drukach strasburskich wydanych w latach 1479 i 1498, poza wydawcą i tytułami. Były to Jana Grünigera „Breviarum Monasteriense” czyli „Brewiarz Klasztorny” i „Hortulus Animae”. Tymczasem okazało się, że w Krakowie istnieją drzeworyty pochodzące właśnie z tych dwóch wydawnictw.

Jak do tego doszło? Otóż w Krakowie wydano w 1546 r. modlitewnik „Hortulus” wzorowany na takimże wydawnictwie, które ukazało się w Strasburgu w 1500 r. w oficynie Jana Grünigera. Do strasburskiego wydania „Hortulusa” wzięto drzeworyty z owych starych druków z 1479 i 1498 r. Z „Hortulusa” z kolei użyto w je Krakowie w 1546 r.

W Strasburgu po wszystkich trzech wydawnictwach nie ma już śladu, a krakowskie wydawnictwo posiada stosunkowo dobrze zachowanych 55 drzeworytów z tych bardzo starych, zaginionych druków strasburskich.

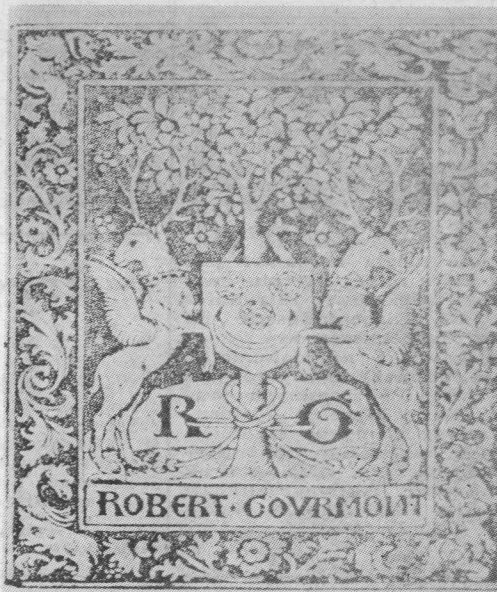
Badania porównawcze polskich historyków sztuki nad drzeworytami strasburskimi i krakowskimi wykazały, że omawiana seria musiała być reprodukowana w Strasburgu w większej ilości dzieł. Wszystkie jednak później zaginęły (krajowy Biuletyn Historii Sztuki Nr 1/66). Odnalezione drzeworyty przypominają zdobnictwo z paryskich XV-wiecznych „Livres d'heures”, które odznaczały się charakterystycznymi zna-

kami oficyny Roberta Gourmonta i Gasparda Philippe'a. Drukarze ci utrzymywali ożywione kontakty z drukarzami krakowskimi i wrocławskimi.

Warto dodać, że polskie drukarstwo stało już wówczas na wysokim poziomie. Pierwszy druk krakowski pochodzi z 1476 r., to jest ćwierć wieku po pierwszych książkach wydanych w Moguncji. Polscy mistrzowie uczyli sztuki drukarskiej w innych krajach europejskich. M.in. w latach 1476 — 78 w Neapolu Jan Adam z Polski, a Stanislaus de Polonia, Stefan Polak i Walenty z Morawy w Lizbonie. Uniwersytet krakowski w XV i XVI wieku kształcił drukarzy z różnych krajów. W oficynach krakowskich Jana Hallera, Floriana Unglera, Wierzbicy i in. wydawano książki w językach słowiańskich, ruskim, hebrajskim, greckim i po łacinie.

Pierwsze polskie teksty drukami, ukazały się w łacińskim wydaniu „Statutów synodjalnych” we Wrocławiu, już w 1475 roku. Były to modlitwy „Ojcze nasz”, „Zdrowaś Maria” i „Wierzę w Boga”.

Kraków i Wrocław są dziś największymi ośrodkami posiadającymi najbogatsze zbiory inkunabułów polskich i obcych, jednymi z najbogatszych w Europie.



Znaki druków paryskich wydanych ok. 1499 r.: z lewej Roberta Gourmonta, z prawej Gasparda Philippe'a

ACRACOVIE nous trouvons en plus quelques gravures sur bois inconnues parmi les imprimés de Strasbourg.

Un problème bien intéressant, quoique exigeant encore des recherches laborieuses — est la présence des gravures sur bois, de provenance étrangère, dans l'art graphique de Cracovie de l'époque de la Renaissance. Ici se trouve l'illustration graphique d'un des livres à Cracovie en 1546 chez les héritiers de Marc Scharffenberg. On y trouve un ensemble de petites gravures figuratives, sur bois, importées de Strasbourg de l'imprimerie de Jean Grüninger „ou elles figuraient dans le Breviarium Monasteriense 1497 et Hortulus Animae 1498.

L'apparition à Cracovie au milieu du XVI-e siècle d'un si riche ensemble de gravures sur bois étrangères est un symptôme indiquant que l'orientation artistique de l'art graphique cracovien abandonne graduellement l'art de l'Allemagne méridionale pour se tourner vers celui du pays rhénan et des Pays-Bas, qui dominera dans la seconde moitié du XVI-e siècle.

POLSCY SPELEOLOGOWIE NA „DNIĘ ŚWIATA”

W okolicach Grenoble, w najgłębszej grocie świata — Gouffre Berger — przebywała ostatnio 10-osobowa ekipa polskich speleologów. Celem wyprawy było dotarcie na tzw. „dno świata”. Pierwsze dwa tygodnie podziemnej wędrówki eksploratorów minęły bardzo pomyślnie. Osiągnięte przez grotolazów sukcesy zechęciły ich, aby po wyjściu na powierzchnię ziemi pojechać do Chamonix i po zejściu na „dno ziemi” rozpocząć wspinaczkę na jej szczyt — na Mont-Blanc.

Wyprawa do Gouffre Berger poprzedzona była dokładnymi przygotowa-

niami. Do jaskini, na głębokość 870 m, spuszczonej był sprzęt i zapasy żywności, celem zorganizowania biwaku. Przy pracach tych współdziałali z Polakami francuscy speleologowie z Val-de-Valence i Grenoble. Dopiero w następnym etapie schodzili grotolazi do coraz niżej położonych części grotty. Udało się polskim speleologom dotrzeć na głębokość poniżej 1.000 metrów, jednakże niebezpieczeństwo spowodowane wzbudzeniem podziemnych wód nie pozwoliło im zgłębić grotty do samego końca. Sukcesu tego zresztą nie osiągnął jeszcze nikt.

DALSZE MELDUNKI 15-letniej CZYTELNICZKI „Tygodnika Polskiego” ANI DOMAŃSKIEJ Z PARYŻA Z PODRÓŻY DO KOŁA ŚWIATA



Z kolejnych etapów podróży dookoła świata, 15-letniej Polki z Paryża Ani Domańskiej, czytelniczki Tygodnika Polskiego, nadeszły dalsze kartki pocztowe. Jak już podaliśmy, Ania Domańska wygrała konkurs czasopisma „Formidable” i w nagrodę podróż dookoła świata.

Z Bangkoku młodociana podróżniczka pisze: „Wczoraj byłam na wieczorne tańców Thai. Jest to bardzo piękne, tancerki wyglądają jakby wyjęte z bajki.

Dziś pierwszy raz w życiu widziałam tego rodzaju targ: na rzece Menan zbiegają się w jednym miejscu dziesiątki łódek napełnione owocami, jarzynami i kwiatami (przede wszystkim lotosem i jaśminem). Kupujące kobiety przyjeżdżają łodziami, do których kładą zakupy na obiad lub wianki z jaśminu i róż.

Pozdrawiam Redakcję i wszystkich Czytelników, Ania Domańska”.

Na kartach nadesłanych z Bangkoku widać tancerkę we wspaniałym stroju tradycyjnym oraz targ na łodziach na rzece Menan (u góry), a z Miasta Lwa (poniżej) fragment ogrodu zoologicznego.

Następną kartę otrzymaliśmy z Singapore. „Jestem już w Mieście Lwa (Singa = lew, Pore = miasto), w połowie podróży. Wracam z ogrodów botanicznych, gdzie prześliczne rośliny egzotyczne kwitną obok stuletnich drzew, na których kołyszą się łakome malpki. Przedtem zwiedziłam „Tigergarden”, w którym lakierowane postacie z cementu przedstawiają morza i różne kraje, olbrzymie ryby, siedzącego Budde, Mickey Mouse, Donald Duck, Konfucjusza itd.

P.S. W hotelu jaszczurki latają po suficie, a jakieś niezbrane robaki lażą po podłodze. Po jednej tylko nocy jestem cała pogryziona. Ale poza tym bardzo ładne i miłe miasto”.

Złośliwy chochlił drukarski zamienił w poprzedniej korespondencji stonia na wielbiada, za co przepraszamy!

Z PRASY

Mme LINE Z PARYŻA PO 20 LATACH POSZUKIWAŃ ZNALAZŁA GRÓB MĘŻA W SZCZECINIE

Line Halard — francuska pielęgniarka — działaczka związku kombatantów II wojny światowej z Paryża, przez 20 lat poszukiwała grobu swego męża, b. jeńca wojennego, Paul Helarda więzionego w czasie okupacji przez hitlerowców w Stargardzie i w Zelechowie (wówczas Bredow) na polskim Pomorzu.

W kilka lat po zakończeniu wojny p. Helard rozpoczął starania przez francuskie Ministerstwo Kombatantów. Mijały lata, w których poszukiwania nie dały oczekiwanych rezultatów i w końcu lat sześćdziesiątych odmówiono dalszych starań, uznając je za bezcelowe.

P. Line Helard nie dała jednak za wygraną i kontynuowała poszukiwania na własną rękę. W ubiegłym roku pojechała no raz pierwszy do Polski z grupą kombatantów francuskich. Wcześniej nawiązała korespondencję ze szpitalem wojskowym w Szczecinie i władzami miejskimi miasta, a także z Okręgowym Komitetem Związku Bojowników o Wolność i Demokrację...

Jak donosi „Głos Wyrzeża”, dziennik wychodzący w Gdańsku, w wyniku wielu wizji lokalnych, sprawdzania i konfrontacji świadków przy pomocy i opiece władz Szczecina — doszło do odkrycia zbiorowych mogił jenieckich w Zelechowie. Pomiary antropologiczne i porównania ze zdjęciami upewniły panią Helard, iż zachowane w jednym z grobów przez 21 lat w polskiej ziemi szczątki należą do jej byłego męża. Po ekshumacji w Zelechowie — zwłoki przewiezione zostały na cmentarz w Aulnay-sous-Bois (Seine-et-Oise).

Paul Helard w 1939 r. został zmobilizowany do francuskiego wojska. Jako podoficer walczył w Ardenach. Wzięty przez hitlerowców do niewoli w 1940 r. trafił do obozu jeńców wojennych w Stargardzie w 1942 r., a następnie do Zelechowa. W ostatnich dniach przed wyzwoleniem Szczecina przez wojska radzieckie Helard został trafiony odłamkiem bomby lotniczej. Pozbawiony opieki lekarskiej zmarł z upływu krwi. Świadkiem pogrzebu był jego obozowy kolega — p. Leon Georges. Po zakończeniu wojny i powrocie do Francji przekazał on wszystkie te szczegóły osieroconej małżon-

ce. Po odnalezieniu grobu męża, p. Line Helard wyraziła wdzięczność przedstawicielom polskich władz i osobom prywatnym, które serdecznie zajęły się jej sprawą.

Tabliczki ewidencyjne oskarżają I. G. Farben

Pracujący w ogródku przy ul. Dąbrowskiej w Oświęcimiu Stanisław Śliz natrafił na dużą ilość tabliczek metalowych i legitymacji z napisami w języku niemieckim. Powiadomieni o odkryciu pracownicy Muzeum w Oświęcimiu przeprowadzili prace. Znalaziono ok. 6 tysięcy cynkowych tabliczek (większość uległa korozji i jest nieczytelna), które miały na celu ewidencjonowanie więźniów, zatrudnionych przez IG Farbenindustrie na terenie obozu oświęcimskiego.

Natrafiono również na dokumenty papierowe w postaci zawiłgoconych, zbutwiałych brył. Po żmudnych pracach osuszających w Muzeum — zidentyfikowano szereg cennych dokumentów. Poza tym znaleziono 295 legitymacji. Znajdują się na nich nadruki IG Farbenindustrie, Aktiengesellschaft Werk Auschwitz Werkausweis. Każda z legitymacji posiada fotografię i dane personalne.

Prof. Stanisław Lorentz otrzymał doktorat h. c. Uniwersytetu w Nancy

Dyrektor Muzeum Narodowego w Warszawie prof. dr Stanisław Lorentz otrzymał ostatnio kolejne, zaszczytne wyróżnienie — doktorat honoris causa Uniwersytetu w Nancy. Uroczystość nadania odbędzie się w dniu 9 listopada, na inauguracji roku akademickiego.

Nadanie polskiemu uczonemu tytułu doktora h.c. Uniwersytetu

Polscy przewodnicy turystyczni we Francji

Francuskie Ministère des Sports et de la Jeunesse zorganizowało niedawno sesję „Connaissance de la France”, w której wzięło udział wielu zagranicznych przewodników turystycznych, a wśród nich i Polacy. Sesja trwała siedem dni w Sarcelles pod Paryżem, a następnie w ciągu 11 dni przewodnicy turystyczni przebywali według życzenia w miejscowościach górskich lub nadmorskich, np. w Boulogne s/Mer, poznając już poza wykładami teoretycznymi o Francji i zwiedzaniem Paryża — piękno ziemi francuskiej.

Ośmiu Polaków, w tym trzech przewodników miejskich z Warszawy, którzy przybyli do Francji z inicjatywy Zarządu Koła Przewodników Miejskich w Warszawie oraz czasopisma „Gości-niec”, wydawanego przez to koło, uzna-

ło swój pobyt we Francji za bardzo interesujący i pożyteczny. Wszyscy podkreślali bardzo serdeczny stosunek organizatorów do Polaków. Gdy na zakończenie pobytu w Boulogne s/Mer odbył się uroczysty wieczór poświęcony krajom, z których przybyli przewodnicy, Polacy, reprezentujący Warszawę, byli gorąco oklaskiwani przez obecnych. Przewodnik miejski z Warszawy Marek Szablowski (student romanistyki na Uniwersytecie Warszawskim) mówił o stolicy Polski, zaś jego słowa ilustrował wykonanymi przez siebie szkicami przewodnik Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego z Kielc Jerzy Sadowski. Na wieczorze śpiewano również polskie piosenki. Wiele serdeczności wszyscy obecni okazali Polakom.

Przed stuleciem polskiej turystyki

W związku ze zbliżającym się 100-leciem polskiej turystyki Polskie Towarzystwo Turystyczno-Krajoznawcze (PTTK) poszukuje materiałów i dokumentów, dotyczących działalności krajoznawczej i turystycznej poszczególnych organizacji i znanych działaczy.

Ważne i pożądane są nazwiska i adresy osób, które posiadają jakiegokolwiek doku-

menty w postaci protokołów z zebrań organizacyjnych, korespondencji, fotografii, książek, publikacji, legitymacji itp.

Materiały powyższe będą przedmiotem opracowań historycznych i pozwolą na ukazanie wielkiego dorobku działaczy w popularyzacji i krzewieniu ruchu krajoznawczo-turystycznego w Polsce.

Chodzi o udostępnienie tych materiałów Komisji Historycznej Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego — Warszawa, ul. Senatorska 11.

w Nancy związane jest z obchodzonymi w tym mieście uroczystościami 200-lecia śmierci Stanisława Leszczyńskiego. Przed kilkoma laty prof. dr Stanisław Lorentz organizował dla miasta Lunewille wielką wystawę poświęconą Stanisławowi Leszczyńskiemu. Jak wiadomo prof. Lorentz ma już tytuł doktora honoris causa Uniwersytetu w Bordeaux.

Obraz Wrocławia w oczach deputowanego NRF

KILKU CZŁONKÓW zachodniemieckiej SPD, deputowanych do Bundestagu spędziło swe wakacje na turystycznych wędrowkach po krajach Europy środkowo-wschodniej, m.in. w Polsce. Podróż ich miała wprawdzie charakter prywatny, ale podczas zwiedzania niektórych miast, deputowani wykorzystali je również do spotkań i rozmów z przedstawicielami tamtejszych władz. Wrażenia z tych wycieczek znalazły dość znaczne echo na łamach prasy NRF. M.in. poseł Hans Juergen Wischnewski przyniósł w „Sozialdemokratischer Pressedienst” relację z zwiedzania Wrocławia i z rozmowy jaką miał w tym mieście z jego prezydentem (przewod. Prez. MRN) Bolesławem Iwaszkiewiczem, profesorem wrocławskiej Politechniki i posłem na Sejm PRL.

Z wynurzeń zachodniemieckiego deputowanego wynika niedwuznacznie, że znał on dobrze Wrocław przed rokiem 1945. I ciekaw też był na pewno bardzo jak to miasto dzisiaj wygląda. Warto tu przypomnieć, że przed niespełna dwoma laty telewizja w Hamburgu nadała interesujący reportaż z Wrocławia. Niemiecki dziennikarz Neven du Mont przedstawił w nim w sposób na ogół obiektywny stan miasta i jego życie, co wywołało w republice związkowej istną burzę protestów ze strony rewizjonistów i członków różnego rodzaju ziomkostw. Zarzucano autorowi tendencyjne przedstawienie obrazu stolicy Śląska przez rzekome jednostronne pokazanie zdjęć, jakoby tylko z jasnej strony miasta, z pominięciem jego braków i cieni, nędzy i zanieczyszczenia. Posądzono nawet Neven du Mont, że jest agentem polskim, inni zarzucali mu, że został przekupiony, jeszcze inni, iż uległ wpływom polskiej propagandy itp. Nastawiona antypolsko część społeczeństwa zachodniemieckiego, ulegająca wpływom rewizjonistycznym, w rezultacie burzy nad reportażem, mogła rzeczywiście nabrać przekonania, że w reportażu sfalszowano obraz Wrocławia.

Tym więc ciekawsze są spostrzeżenia deputowanego do Bundestagu. Można nawet przypuszczać, że Hans Juergen Wischnewski nie przez przypadek w swej wakacyjnej wycieczce turystycznej

zahażył o Wrocław i nie przez przypadek zwrócił się z wielu pytaniami pod adresem gospodarza tego miasta. Jego relacja jest dość sucha niemniej jednak rzeczowa, pozbawiona barwnych określeń, ale za to naładowana cyframi o Wrocławiu dawnym, powojennym i dzisiejszym. Przy danych, które uzyskał od B. Iwaszkiewicza przypomina, że „prezydent wyklada na Politechnice matematykę” a więc, że jego dane cyfrowe muszą być wobec tego ścisłe, a od siebie dodaje: „moje obserwacje mogą to z całą pewnością potwierdzić”.

„Wrocław miał przed wojną ok. 620 tys. mieszkańców — pisał Hans Juergen Wischnewski. — Do końca stycznia 1945 miasto nie doznało praktycznie poważnych szkód wojennych. Potem zostało przez Niemców ogłuszone za twierdzę. Ewaluowano ponad 50% ludności (rewizjoniści twierdzą, że to Polacy wypędzili tych Niemców — przyp. red.). Obłężenie miasta trwało trzy miesiące, od początku lutego do 6 maja 1945. Miasto Wrocław zostało zburzone w 70%. Stopień zniszczenia poszczególnych dzielnic miasta był jednak bardzo różny: południowa i zachodnia część były zniszczone w 90%, centrum — w 50%, część północna i wschodnia tylko w 10%. W maju 1945 żyło we Wrocławiu jeszcze 160 do 180 tys. Niemców. Teraz jest chyba jeszcze mniej więcej ok. 500 Niemców co stanowi około 0,1% obecnej ludności miasta”.

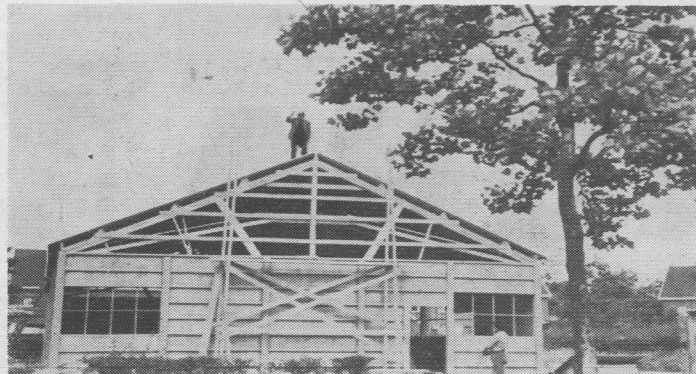
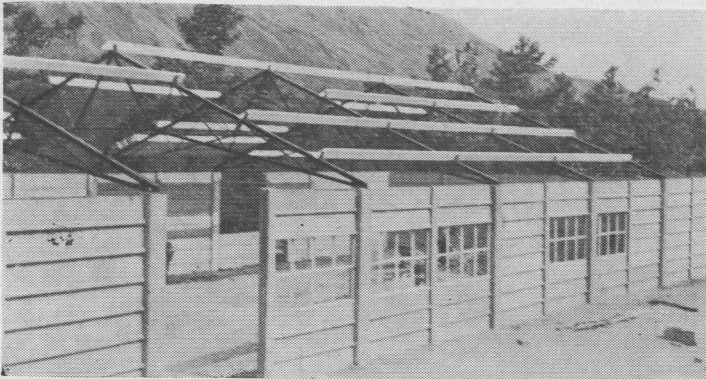
Wischnewski przedstawił też na tle tych danych o ludności niemieckiej przemiany ludnościowe jakie zachodziły w składzie ludności polskiej. A więc pod koniec 1945 żyło we Wrocławiu ok. 30 tys. Polaków; w 1947 r. — już 250 tys., obecnie w lipcu 1966 — 480 tys. „Tych 480 tys. Polaków — stwierdza Wischnewski — pochodzi z różnych części kraju, jeśli nie są oni urodzeni w samym Wrocławiu”. 20% przybyło z dawnych terenów wschodnich Polski, pewna część ze zburzonej Warszawy, znaczna część wróciła z Rzeszy, gdzie podczas wojny wykonywała pracę przymusową. 40% ludności polskiej, która przybyła do Wrocławia wywodzi się ze wsi, dalsze 40% z małych miasteczek, a tylko 20% z wielkich miast.

Taki skład ludnościowy nastąpił wiele trudności podczas integracji społecznej. „Zwłaszcza ludzom ze wsi trudno było zaaklimatyzować się w mieście; przede wszystkim nie chcieli się oni wyrzec hodowli bydła. Ale także i ten okres trudności został przezwyciężony. Szkoła, praca i małżeństwa połączyły różne grupy; rozwinął się nawet pewien patriotyzm lokalny”. Na podstawie osobistych obserwacji jak i informacji, zachodniemiecki turysta-polityk ustalił, że „społeczeństwo Wrocławia jest bardzo młode... tylko 6% mieszkańców ma ponad 60 lat”. Liczba ludności wzrasta rocznie o 2 do 2,5% i to z konieczności stwarza dalsze problemy.

„Część ludności żyje jeszcze w bardzo złych warunkach mieszkaniowych — zauważa przy tym, ale bezpośrednio po takim stwierdzeniu musi przyznać: — Mimo to niewątpliwie widać tu wielkie sukcesy w budownictwie mieszkaniowym. W tym mieście zburzonym i dotkniętym przez wojnę, powstały zupełnie nowe — wielkie i nowoczesne dzielnice mieszkaniowe. Wrocław jest w większości swej miastem nowym. Jednakże centrum miasta odbudowano wiernie, ponosząc wielkie ofiary. A więc Wrocław to „miasto bardzo młode” i „w swej większości miasto nowe”.

Czy zachodniemieccy ziomkowie, którzy gromy rzucali w Neven du Montu uwiertają teraz Hans Juergen Wischnewskiemu? — Nie jest wykluczone, że i jego okrzyczą polskim czy komunistycznym agentem, zarzuca mu — na podstawie brzmienia nazwiska — polskie spowinowacenie tak jak Neven du Montowi zarzucili francuskie, rozumiejąc w tym równocześnie skłonność do sympatii dla Polaków.

W dalszym ciągu Hans Juergen Wischnewski przedstawił w swej relacji stan szkolnictwa polskiego we Wrocławiu, powszechnego, jak i wyższego, oraz stan przemysłu i zatrudnienia w nim. Obliczył, że potencjał przemysłowy Wrocławia i województwa wrocławskiego ma w całokształcie produkcji ponad 10%. A więc dużo. Znacznie więcej niż Dolny Śląsk miał w gospodarce ogólnoniemieckiej. Ale tego zachodniemieckiego deputowanego nie przypomniał. Zauważył jednak w końcowym zdaniu swego sprawozdania, że „mimo pewnych braków dokonano tu wielkiego dzieła odbudowy. I dzisiaj nikt tu już nie mieszka na walizkach” jak to było w pierwszych latach powojennych.



Dom Polski w Koersel-Stal w Belgii w czasie budowy. Dziś już jest gotowy. Powstał z inicjatywy i pracy Rodaków

*Piękna
inicjatywa*

DOM POLSKI W KOERSEL-STAL



Zespół „Szarotki” w czasie jednego z licznych występów

W KOLONII nazywają go „generałem”. Prawdziwe jego nazwisko to — Ostrega. W 1939 r. był żołnierzem 16 pułku piechoty w Tarnowie. 16 pułk piechoty został rozбитý pod Cieszynem. Wycofał się pod Przemysł. Pan Ostrega został dwukrotnie ranny — pod Cieszynem i pod Przemysłem. Niemcy wywieźli go do Norymbergi. Był w roboczym „kommando” — najpierw w kuźni, potem kolejno w fabryce samolotów, fabryce pojazdów pancernych, a pod sam koniec wojny — w fabryce amunicji. Po wyzwoleniu należał do jednej z tzw. „kompanii wartowniczych”. W 1947 r. znalazł się w Belgii i zaczął pracować w kopalni.

Tadeusz Roźniak pochodzi z Warszawy. Z Warszawy wywieziony został we wrześniu 1944 r., po Powstaniu. Miał wtedy 19 lat. Pruszków, obóz w Starogardzie, Saksonia, Turynia, wyzwolenie, Amerykanie. W końcu znalazł się w Belgii, tu w Koersel-Stal, i zaczął pracować w kopalni Beringen.

Wszystko sprawiła wojna. Wszyscy stali się emigrantami za sprawą wojny. I pochodzący z Wileńszczyzny p. Bogdanowicz, którego kolezdy nazywają „starym emigrantem”, i p. Ziembicki, który o swoim pięcioletnim pobycie w niewoli niemieckiej powiada, że „to były trudne przeżycia, nie sposób to opowiedzieć”, i p. Sielski i p. Ciołek...

*

Beringen. Jedną z największych belgijskich kopalń. W koloniach przy kopalni żyje 98 polskich rodzin. 50 procent tutejszej Polonii stanowią tak zwana „nowa emigracja” — ci wszyscy właśnie, którzy znaleźli się w Belgii w wyniku wojny.

Lato. Okres wakacyjny. Dzieci wysłano na wakacje. Do Polski albo na kolonię letnie organizowane przez kopalnię i Kasę Chorych. Z dorosłych natomiast wyjechało

niewiele. Tłumaczą, że dla nich wakacje to Polska, pobyt w Polsce. Skoro nie mogli w tym roku wyjechać do Polski, to i nie wyjeżdżają w ogóle nigdzie, siedzą w domu i po staremu pracują. Mężczyźni — w kopalni, kobiety i dziewczyny — we własnym domowym gospodarstwie, albo w fabrykach w Holandii, do której jest stąd bardzo blisko.

Chociaż — nie wszyscy pracują. Połowa mniej więcej tutejszych Polaków to emeryci. Część emerytów pracuje wprawdzie dorywczo to tu, to tam — no bo jeśli ma się jeszcze jakieś zdrowie, to dlaczego nie miałoby się dorabiać do emerytury — ale generalnie rzecz biorąc, emeryci są w kolonii tymi, którzy się nigdzie specjalnie nie śpieszą. Latem co i raz wychodzą z domu — ot, żeby spotkać kolegów, pogawędzić.

Bywa, że do grupki emerytów dołączy się na chwilę ten i ów z młodszych górników. Czasem doszlusują także i kobiety. Mówi się o najróżniejszych sprawach. Ceny, zarobki, Polska, Belgia. Czasem rozpamiętują swoją przeszłość. Przymusowa praca w Niemczech w czasie wojny, potem tzw. „kompanie wartownicze”, wreszcie — Belgia. Początkowo żyli z myślą, że do Belgii przyjechali tylko na pobyt czasowy, że zarobi się, zaoszczędzi i — wróci się do Polski. Ale lata biegnęły. Poza kładali rodziny, wrosli powoli w środowisko belgijskie, niektórzy stracili w kopalni zdrowie. Pokochali Belgię, nauczyli się tu wielu rzeczy — ale i Belgowie niejednemu się od nich nauczyli. Kobiety przypominają, że Belgowie w ogóle nie mieli pojęcia, jak mogą smakować: kapusta, kluski, wieprzowina, kapusta kiszona i ogórki kiszane, barszcz, marynowane grzybki, czarne jagody, zsiadłe mleko... A teraz! Pan Henryk Sielski opowiadał niedawno, że byli u niego na „polskim obiedzie” kolezdy jego syna — znanego w okolicy piłkarza (w drużynie piłki nożnej przynależącej do kopalni Beringen kolonii Koersel-Stal gra kilku piłkarzy pochodzenia polskie-

go) — Belgowie, oczywiście. Jedli, aż uszy im się trzęsły!

Stałym i największym tematem jest oczywiście Polska. Polska rzeczywista i ich kolonijna „mała Polska”, na którą składa się zespół folklorystyczny „Szarotka”, który w tym roku odniósł duży sukces na jednej z belgijskich imprez karnawałowych, szkółka polska, do której uczęszcza 36 dzieci, wyjazdy do Kraju, imprezy polonijne...

Do zeszłego roku wszystkie takie rozmowy toczyły się na małym placu przed domem p. Ciołka. W tym roku jest inaczej. Z placu nikt sobie już nic nie robi. Tego lata wszyscy przenieśli się na budowę.

M ARZYLI o tym od dawna. Od dawna już snuli marzenia o Domu Polskim, w którym można by spędzać wolny czas, w którym odbywałyby się próby młodzieżowego zespołu folklorystycznego „Szarotka”, w którym wyświetlałoby się polskie filmy, urządzano polskie imprezy. Dotąd zawsze wynajmowali przy takich okazjach jakąś salę, ale jak wiadomo, wynajmowanie to nie jest taka prosta sprawa, bywa, że chce się salę wynajmując, a tu okazuje się, że zajęta i w najbliższą i w przyszłą niedzielę, i potem jeszcze też. Więc chcieli mieć swój własny Dom Polski.

Pewnego dnia powzięli decyzję. Do jednego z pobliskich browarów zwrócili się o pożyczkę na budowę Domu. Browar poszedł im na rękę — uzyskali 300 tysięcy franków belgijskich (30 tysięcy nowych franków francuskich). Zobowiązali się zwrócić dług w ciągu dziesięciu lat.

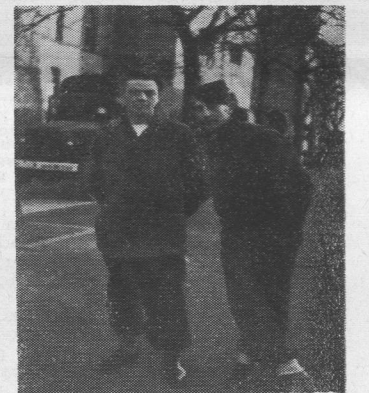
Następnie zwrócili się do dyrekcji kopalni Beringen. I tu również spotkali się ze zrozumieniem, a nawet — z zyczliwością. Dyrekcja pozwoliła budować na terenie kopalnianym, a nadto — dostarczyła maszyn, materiałów na budowę. Więc udali się do przedsiębiorstwa budowlanego p. Józefa Daniela i zakasawszy rękawy, sami zabrali się do kopania pod fundamenty. Kierował wszystkim prezes Komitetu Rodzielskiego, p. Stanisław Ciołek. Pan Ciołek był na placu budowy codziennie. Był tam już o godzinie szóstej rano, pracował do dwunastej, potem szedł do domu, raz — raz — na obiad, i — na szychte. Z równym entuzjazmem pracowali wszyscy inni członkowie Komitetu Rodzielskiego — państwo Polakowie, pp. Sielski, Roźniak, Kowalczyk, Pluta, Bermac, Szpyt, Ostrega, Groszowski, Wojtasik, Opala, Różowski, Nowakowski, Szczudło, Ciepliński, Sliwa, Strumidło, Strzelecki, Wilczek... Niektórzy emeryci — p. Antoni Bogdanowicz na przykład — spędzali i nadal spędzają na budowie cały dzień...

D OM POLSKI w Koersel-Stal już stoi. Jest to w tej chwili jedna przestronna i przyjemna sala, nad którą trzeba będzie jeszcze sporo popracować. Trzeba będzie zrobić przepierzenie, tak żeby powstały dwie sale, jedna — do codziennych spotkań, druga — do imprez; trzeba będzie zmontować estradę, założyć centralne ogrzewanie, dekorować; trzeba będzie włożyć jeszcze dużo pracy w wykończenie. Ale Dom już stoi, i choć oficjalna inauguracja odbędzie się dopiero we wrześniu — można by ją urządzić już w tej chwili, ale Komitetowi Rodzielskiemu zależy na tym, aby na otwarciu było jak najwięcej ludzi, więc trzeba przeczekać okres wakacyjny. Zainstalowano już bufet, za którym urzęduje p. Józef Groszewski, są już stoliki i krzesła, można w Domu dziś już wypić piwo lub lemoniadę — toteż całe prawie Koersel-Stal codziennie niemal wpada na chwilę do Domu. Przychodzą także i Belgowie, których to wszystko — inicjatywa, entuzjazm, ofiarność ich kolegów — Polaków — mile zaskoczyło. Stałymi gośćmi są rzecz jasna członkowie Komitetu Rodzielskiego. Przychodzą pracować, ale także i — pomarzyć. Marzą o tym, jak to będzie, kiedy Dom będzie już naprawdę gotowy do użytku... Planują: tu będzie biblioteka (500 tomów), tu — telewizor... Mówią o zespole „Szarotka” — że w takim a takim miejscu postawi się zespołowe pianino; o swoich dzieciach, że dla nich to wszystko robią, dla dzieci, żeby się tu uczyły języka polskiego i przywiązania do Polski; o ważnej sprawie pożyczki także...

— Będziemy się starali zorganizować dużo ciekawych imprez. Będziemy wynajmować salę innym stowarzyszeniom i organizacjom — tłumaczył nam p. Ciołek. — Mam nadzieję, że te dochody pozwolą nam spłacić dług w umówionym terminie. A gdyby, co nie daj Boże, gdyby się nam nie poszczęściło, gdyby imprezy nam się nie udawały — no to cóż — podpisaliśmy — spłacimy — z własnej kieszeni.



Zdjęcie sprzed laty, jednej z pierwszych grup emigrantów polskich przybyłych tu na pobyt czasowy do Koersel-Stal



Pamiątkowe zdjęcie p. H. Sielskiego (z prawej) z pobytu w „kompanii wartowniczej”

Podjęli piękną inicjatywę. Wzięli na siebie duże ryzyko. W budowę swojego Domu włożyli i nadal wkładają naprawdę dużo pracy. Ich ofiarność i bezinteresowność zasługują na najwyższe uznanie. Zaś oni sami — górnicy polscy z Koersel-Stal — zasługują na szacunek, rzecz jasna, ale także i na pomoc wszystkich polskich organizacji i stowarzyszeń w Belgii. Do takiej sprawy, jak ten Dom Polski, naprawdę warto się przyłożyć. (k)

**RADIOODBIORNIKI
TELEWIZORY**

◆ Lodówki, maszyny do prania
i inne artykuły gospodarstwa domowego ◆

LENG — PICARD ET C-ie

16, Place de la Liberté, 423, rue de Lannoy
Telefony: 73.39.42, 73.29.47 ROUBAIX (Nord)

Początek na Westerplatte*

ZBIGNIEW FLISOWSKI

OBRONA

NICZYM ZŁY FANTOM stoi pancernik „Schleswig-Holstein” w gdańskim kanale portowym. Widy kotwiczne poszły w ruch napełniając mgłą poranną trzeszczeniem, skowyczącą staccato. Wybierana kotwica szał jakby opornie. Maszyny głucho wibrowały i oto okręt ruszył. Wieże pancerne rozpoczęły teraz swój wolny taniec, zwracając się za wskazaniami ludzi, którzy poruszali nimi mocą elektrycznych silników. Same lufy działowe nie wykonywały charakterystycznych dla artylerii okrętowej przyszywnych pionowych. Celowniczo nie potrzebowały tu unosić luf lub ich zniżać — tu nie było morskiego przeciwnika, którego ściga się niejako lufą z odległości piętnastu czy dwudziestu kilometrów, wyrzucając pocisk daleko przed niego: okręt i pocisk po niewidzialnych torach biegną sobie na spotkanie, które przynosi śmierć. Tutaj przeciwnik tkwił nieruchomo o kilkaset metrów.

Do ludzi w granatowych mundurach i złotych galonach stojących na pomoście bojowym dobiegło nagle pianie koguta. Pierzbiało się gdzieś z tej porannej mgły, zwiastując wstawanie dnia. Pierwszego dnia wojny. I nagle zaczęło się. To co się dokonało tutaj 1 września o 4.45, jeszcze dziś budzi grozę. Pancernik o wysokich masztach i wysokich kominach spowija się nagle w chmurę jasnego złotawego ognia i dymu. Wielkie wieże działowe 280-milimetrowe biją co czterdzieści sekund, działa 150-milimetrowe (na lądzie to już artyleria ciężka) co 15—20, na jedną więc salwę z dział ciężkich wypada po dwie salwy dział artylerii średniej. Biegna też w stronę Westerplatte świetlne koralce pocisków z działek szybkostrzelnych i karabinów maszynowych.

Wielkie cielska luf rzucają się raz po raz do tyłu, raz po raz podajniki ładują do opustoszałych komór amunicyjnych pociski i długie białe worki z prochem, których wilgotność zmierzono uprzednio w komorach amunicyjnych. Działa ustawione są zupełnie płasko, na najniższym kącie podniesienia.

Nigdy tak wielkim okrętom nie zdarza się strzelanie na kącie podniesienia „zero”. Przed nimi w peryskopach płoną już warsztaty skutnicze położone na brzegu w kolanie „Zakrętu Pięciu Gwizdków”, płonie las, ścinane są korony drzew. Teraz Westerplatte pokrywa się baldachimem pocisków, odłamków, infernalnych wyblisków. Artylerzyści pancernika jak urzeczony patrzą w ten obraz zniszczenia wywołany ich rękami. Ktoś zruca pytanie. „Czy tam jeszcze ktoś żyje?”

Żyje! Załoga Westerplatte przyjmuje wyzwanie. Oto jej pierwsze chwile walki. Pierwsze minuty drugiej wojny światowej: „Kiedy znalazłem się już na ostatnich schodkach mieszczących się tuż obok prawego skrzydła naszych stanowisk strzeleckich — mówi plutonowy Baran — nagle potężna detonacja wyrzuciła mnie wraz z moją drabiną i murem wysoko w powietrze. Ogluszony i oszołomiony upadłem na zasieki druczane znajdujące się na przedpolu naszych stanowisk. Jednocześnie z tym wybuchem zważyła się na Westerplatte piekielna salwa ognia różnych rodzajów broni — niemal ze wszystkich kierunków. Posypał się na nas istny grad pocisków różnego kalibru z pancernika „Schleswig-Holstein”, ze wszystkich okien zabudowań mieszczących się po drugiej stronie kanału i z rejonu basenu zajmowanego wówczas przez władze gdańskie”.

„Wyskoczyliśmy z łózek — mówi plut. Gawlicki, dowódca placówki „Elektrownia”. — Po chwili nastąpił drugi wybuch. Szybko naciągnęliśmy mundury. Początkowo nie mogłem się zorientować, co to jest; gdy zagrały karabiny maszynowe, zrozumieliśmy, że to wojenka. — Jasiu, biegiem na stanowisko! — wołał do kolegi. Dla nas nie było to nowina, gdyż obaj „przerobiliśmy” pierwszą wojnę światową. Zniszczyłem jeszcze pocztę, jaką miałem na stole i zbiegłem na dół”.

Nie obyła się również bez momentu komicznego.

— „W korytarzu łapie mnie nasz stary cieśla Szwedowski i prosi, abym mu

pomógł naciągnąć spodnie, gdyż od tego hukku nogi mu zeszywniały i nie może trafić do nogawki. Poradziłem mu, by rzucił spodnie na ziemię i dał do nich nurka... (chyba tak zrobił, bo w czasie akcji widziałem go w spodniach)”.

W chwili gdy plutonowy Łopatniuk uruchamia sygnalizację alarmową, w łącznicach na wartowniach zapala się czerwone światło i rozlega przejmujący dzwonek alarmowy. „W pierwszym momencie stracili orientację — wspomina plutonowy Buder, dowódca wartowni numer 1. — Zarządziłem przygotowanie wartowni do obrony, zapominając w pośpiechu i zdenerwowaniu o wyłączeniu dzwonka alarmowego”.

Wartownię szykowano do obrony, na oknach układano worki z piaskiem. Po tych strzałach st. strzelec Zięba i kapral Więckowicz wycofali się z bramy głównej. Przybiegli na wartownię i zameldowali, że opuścili posterunki wobec silnego ognia nieprzyjaciela. Zięba mówił, że nie ma helmu i trudno mu będzie utrzymać się. Daliśmy mu więc swój hełm, kazaliśmy wziąć granaty, wrrać i zająć stanowiska koło wartowni Schuppo za wałem, który ich częściowo ochraniał.

Sierżant Władysław Deik w momencie alarmu miał obsadzić połowę placówki nad brzegiem kanału portowego w miejscu położonym między wartownią numer 2 i 3. „Porywam swoich zuchów na placówkę. Biegniemy rozproszeni w tyralierę pod huraganowym ogniem karabinów maszynowych nieprzyjaciela. Za mną jest sierżant Krzeszewski z elkaemem, Malak, Plewak. Odcinek, który przebywamy zbliżając się do koszar, jest osłonięty lasem. Przy koszarach dołączają do nas trzej strzelcy i razem biegniemy w kierunku naszych stanowisk, od celu dzieli nas około 300 metrów odkrytego pola. Za nami ciągnie się kanał martwej Wisły, spichrz zbożowy oraz magazyny przeladunkowe firmy „Prove” i „Anker”. Korzystając z tego, że Niemcy skoncentrowali ogień na odcinku lasu, szybkim biegiem dostaliśmy się na stanowiska. W ludziach strat nie mieliśmy.

Główną siłę ogniową na odkrytych pozycjach od strony kanału reprezentowała placówka „Przystań” licząca 13 ludzi, 1 cekaem i 2 erkaemy. „...Ile sił w nogach ruszamy na opuszczoną przed chwilą placówkę — mówi ppor. Kregielski. — Wybiegając spoza koszar uważałem, że cała przestrzeń, którą mamy do przebycia, jest dosłownie poszatkowana pociskami. Wrażenie było tym bardziej rzeczywiste, że Niemcy strzelali pociskami świetlnymi i ekrazytowymi, a wybuchy granatów cały ten obraz uzupełniały...”

W ten sposób pod baldachimem pocisków, kryjąc się za najmniejszą zasłoną lub nie kryjąc się wcale, załoga Westerplatte zajmuje stanowiska bojowe. A więc z koszar, niby z jakiejś centralnej rozdzielni sił, wybiegają uzupełnienia do wartowni i obsady placówek połowych lub ich wzmocnienia. Wyszlifowany w okresie pokojowym do granic doskonałości mechanizm bojowy Westerplatte pracuje precyzyjnie, wszystko odbywa się dosłownie w minutach i sekundach. Teren najeża się lufami wycelowanymi w stronę przeciwnika, który nadejść może z każdej strony. Niczym stalowy jeź Westerplatte czeka na godzinę szturm... A poza murem poszarpanym, postrelanym, poza bramą kolejową wysadzoną w powietrze (to podmuch od tego wybuchu wyrzucił plutonowego Barana i rzucił na zasieki), już czekają na swoją chwilę żołnierze „Danziger SS Heimwehr” i kompanii szturmowej przywiezionej przez pancernik. Zabawa w zajmowanie bez walki skończyła się. Tutaj trzeba zacząć płacić! W porannym półmroku, w dymach unoszących się po nawale artyleryjskiej oddziały szturmowe sekcjami i drużynami zagłębiają się w las, którym porośnięty jest za czerwonym murem teren polski, a właściwie za tym, co zostało z czerwonego muru... Dowódcy drużyn, przykuleni, zgieci do połowy dają znak ręką swoim żołnierzom, wskazują kierunek, nadają tempo. Szare helmy i mundury zlewają się z tłem lasu: „niczym duchy z Nibelungów” — powie niemiecki sprawozdawca radio-



Pierwsze chwile walki. Niemiecka piechota po przygotowaniu artyleryjskim podeszła pod mur okalający Westerplatte, by za chwilę przystąpić do szturm

wy obserwując atak z dość bezpiecznej odległości...

Nawala artyleryjska trwająca 6 minut zakończona — niechybny znak, że nadchodzi godzina piechoty. Za chwilę powinni wyjść przeciw nim Niemcy!

SA! Jeden, trzech dziesięciu, stu... Wpadają przez wyloty w murze, przez wysadzoną bramę kolejową. Idą skokami, przypadając, obserwując. Podoficerowie mają lornetki. Ale karabiny maszynowe placówki „Prom” zostały już wyciągnięte ze schronów: przy jednym jako celowniczy plutonowy Baran, przy drugim kapral Zdeb. Taśmy założone, kciuki na spustach. Czeka. Niemcy muszą im podejść do przygotowanej linii ognia; strzelec zaczyna na rozkaz chorążego Gryczmana, który ze swoim lekkim karabinem maszynowym znajduje się na wale schronu amunicyjnego, na kierunku więc, gdzie naciera gros niemieckiej piechoty. Ale Szamlewski nie strzela! Plutonowemu Baranowi uchwyt karabinu dosłownie parzy dłonie. Czuję, jak spod helmu wypływa mu na twarz pot, choć to chłodny nadmorski wrześniowy ranek. Nie ma na co czekać — Niemcy przeszli już przez pierwszą ustaloną linię ognia kaemów. Docho- dzą już do drugiej linii. I wtedy „Prom” płonął ogniem. Karabiny maszynowe ogniem sztyletowym lub o lekko poszerzanym — bo na inny tu miejsca nie było — werżnęły swe pociski w atakujących. Wydawało się w tej gęstwinie lepszej, że to nie karabiny maszynowe biją lecz lekkie działka. Do akcji włącza się Szamlewski, który w pierwszym momencie odskoczył do tyłu, ale teraz wrócił i otworzył ogień ze swego elkaemu wprost w twarze nacierających. Got! Hilfe! Wasser! Boże! Pomocy! Wody! Ciała biegnące przyklekają lub padają. Za napaść na Polskę płacą ostatnim w życiu krzykiem. Kto żyje rzuca się w stronę wylotów w murze. Ale po drodze nadziewa się na pierwszą linię ognia „Promu”. Los oddziału zamkniętego z jednej strony moją zapórą ogniową, z drugiej zaś ogniem Szamlewskiego, został przesadzony — powie później cekaemista plutonowy Baran. — „Podawaliśmy sobie uciekających Niemców dosłownie z rąk do rąk, niszcząc do ostatniego ogniem broni maszynowej. Nieliczni, którzy zorientowali się w położeniu, usiłovali się wyrwać w bok, w kierunku morza. Ci ginęli podwójną chybą śmiercią... przez zastrzelenie i utopienie”.

Ale i na polskiej placówce są pierwsze straty. Erkaemista strzelec Dominiak, który podczas pierwszego starcia strzelał najpierw krótkimi seriami po 4—5 pocisków, później długimi wystrzelując całe magazynki, zostaje ranny. Pocisk łamie mu obojczyk, w chwili gdy po usunięciu zacięcia w kaemie kolegi wracał na swe stanowisko.

Porucznik Leon Pająk na dźwięk dzwonek, huk i świstu pocisków chwytając swój hełm, pistolet „Vis”, maskę przeciwgazową i z pietra pędzi na dół, na parter. Sam zbiera uzupełnienie placówki „Prom”. W kilku skokach przebywają płaską, otwartą przestrzeń dzielącą koszar od terenu zalesionego. Dobiegają najpierw do wartowni numer 5, a stąd wzdłuż lizery lasu pędzą dalej do wartowni numer 1. Tutaj porucznikowi Pająkowi, który

zapina w pośpiechu hełm, melduje się plutonowy Buder. Cała szóstka biegnie dalej, już teraz lasem, w stronę, skąd dochodzi grzechot karabinów maszynowych. Słychać też jak pociski rozrywają się w tyle w rejonie wartowni numer 2, 4 i placówki „Przystań”. Gdy zadyszani docierają na placówkę „Prom”, akcja bojowa trwa — plutonowy Baran, strzelcy erkaemiści prowadzą walkę ogniową z Niemcami. Chorąży Gryczman melduje: „Nie daliśmy się zaskoczyć...” i zdaje dowództwo.

Właśnie rusza druga fala natarcia. Porucznik Pająk ocenia siły wroga na niepełną kompanię strzelecką, taką siłę przynajmniej widać w nieprzejrzystym terenie. Niemcy mają utrudnioną swobodę ruchów przez przeszkody z drutu kolczastego i potykacze — druty rozciągnięte nisko nad ziemią, pułapkę niewidoczną a przykrą w skutkach. Telefon do majora Sucharskiego, meldunek o sytuacji i prośba o gotowość do akcji na korzyść placówki.

Placówka „Prom”, osłonięta wałem ziemnym, dotychczas jakoś nie narażona była na skuteczny ogień piechoty niemieckiej; nagle otrzymuje ogień z niespodziewanej strony — ze strychu wartowni Schuppo. W ten sposób Niemcy biorą „Prom” niejako w dwa ognie. To jest groźne. Porucznik Pająk wzywa do siebie gestem kaprala Kowalczyka i dwóch żołnierzy: wiązkę granatów mają zniszczyć punkt ogniowy wroga. Kowalczyk i strzelec Uss chyłkiem docierają do czerwonego muru, za którym widnieje huczcząca teraz ogniem wartownia. Ale żeby celnie rzucić, trzeba się przewiesić przez mur. Kowalczyk rzuca się na mur, tak wysoki przecież, i cisną łukiem wiązkę na strych. Huk detonacji, strzępy dachu. Ale ciało człowieka, który rzucił zmasowaną, skoncentrowaną śmierć, zwisa bezwładnie. Otrzymał ranę, która okaże się śmiertelną. W akcji wkrótce potem ginie strzelec Uss.

Wspierane ogniem na linię wartowni i koszar wychodzi drugie natarcie niemieckie. Kompanię szturmową marynarki wojennej, która przybyła pod pokładem pancernika, prowadzi sam oberleutnant Wilhelm Henningsen. Biją z automatów, posuwają się teraz jakby klinami — ale ostrożniej niż pododdział gdańskiej Heimwehry podczas pierwszego natarcia... Jest to przeciwnik wojskowy świetnie wyćwiczony właśnie w natarciu i szturmie — wojsko, które wie, jak się celnie strzela, jak się rzuca granaty, jak się walczy z bliska, wojsko, któremu wsączano przez ostatnie miesiące nienawiść do Polski i Polaków, imaginowano obraz polskiej okrucieństw, stawiano jako ideał, dla którego warto życie poświęcić, tysiącletnia Rzeszę panującą nad ogromnymi obszarami Europy. Przy takim więc wielkim celu cóż znaczy życie pojedynczego Niemca?

Idą w swoich stalowych szarych hełmach, idą w mundurach ze srebrnymi kotwicami haftowanymi na przedramieniu, idą w czarnych płaszczach ściągniętych pasami, na których widnieje wezwanie do niemieckiego Boga, który tyle razy błogosławił niemieckim „wielkim batalionom”.

* Por. „Gdański Sierpień” w nr 35(456) i „Na wiślanej tarczy” w nr 36(457) z tego samego cyklu.

Porucznik Pająk wstrzymał ogień. Stara dewiza broniącej się piechoty — podpuścić przeciwnika bliżej i plunąć mu ogniem w twarz. Ognia! Placówka „Prom” znów strzela. Placówka „Prom” walczy. Henningsen zwręży front natarcia, formuje szturmowy klin, ukierunkowany w stronę wału, za którym błyskawicznie wylotowe polskich karabinów maszynowych. Obrońcy widzą ten klin, rozbijają go, stępują, ale trudno jest przebić ogniem każde drzewo, za którym tkwi wróg, jego mundury zlewają się z ciem. Kurz i dym zaciemniają pole widzenia. A więc do akcji muszą wejść moździerze! Telefon do koszar, coś chrobocze, trudno utrzymać połączenie, włącza się na szczęście plutonowy Buder z „jedynki”...

Gdy plutonowy Józef Bieniasz usłyszał, że porucznik Pająk żąda wsparcia ogniowego, jego cztery moździerze Brandta kalibru 81 milimetrów stały już na stanowiskach w rejonie koszar. Plutonowy Bieniasz wystawił tyckich dozorów, rzecz niezbędną przy celowaniu i czekał na swój moment. Był fachowcem wojskowym wysokiej klasy, instruktorem wyspecjalizowanym w ceka-mach i moździerzach. Na Westerplatte przybył z 33 pułku piechoty Legionów z Jarosławia.

Przy moździerzach trwali w napięciu — jego zastępca kapral Gonsawski, działonowi kaprale Zwierzchowski, Włodarski, Zimny i Bałowski. Choć w warunkach Westerplatte nie można było przeprowadzić najkrótszego choćby wstrzelania, to jednak w ciągu ubiegłych dni wszelkie potrzebne obliczenia zostały zrobione, tak aby mieć dane do strzelania na każdy żądany punkt. Moździerze znajdowały się w dość niecodziennej pozycji — lufy, zwykle pochylone pod znacznym kątem, tutaj sterowały prawie prostopadłe, wymierzone w niebo; wydawało się, że ich celem nie jest przeciwnik znajdujący się o pół kilometra, ale niewidzialna gwiazda, którą wróg umieścił na niebie jako groźbę. Mieli przecież strzelać na najkrótszych odległościach, na jakich moździerz strzelać może i pociski musiały prawie prostopadłe wbić się w powietrze.

Plutonowy Bieniasz usłyszawszy strzępki rozmowy z porucznikiem Pająkiem nie może się opanować, pyta kapitana Dąbrowskiego, czy już rozpoczynać ogień. Wreszcie...

„Działon pierwszy i drugi ogień punktowy, krag 32, bęben 0, po jednym ognia!”

Działon trzeci i czwarty, ogień poszerzany w prawo, krag 30, bęben 98, kąt strzału 62, ładunek drugi. Osiem pocisków ciężkich. Zapalnik długa zwłoka. Po jednym ognia!”

Odpal z moździerza różni się od wystrzału działowego. Pociągnięcie za sznur spustu wyzwala dźwięk trochę jak z beczi, mniej ostry niż huk długolufy armaty czy nawet krótkolufy haubicy. Wprawne oko uchwyci lot pocisku w powietrzu, przynajmniej w pierwszej jego fazie, gdy jest jeszcze niewysoko nad ziemią. Fala za falą wyrzucały moździerze plutonowego Bieniasza salwy pocisków w powietrze. Szły pod niebo gdzieś na kilometr albo wyżej sześć i półkilogramowe pociski z długą zwłoką i spadały w dół na zielony las, wyrwijac słupy ziemi. Żołnierzom placówki „Prom”, którzy widzieli już przeciwnika pod zasiekami i saperów przecinających zasieki, czu-

li zbliżające się wybuchy długich trzonkowych granatów ręcznych, wydawało się nagle, że to niewidzialne w powietrzu śmiercionośne grabie spadają na gotujące się już do walki wręcz oddziały niemieckie. Nowa klęska spotyka atakujących: porucznik Wilhelm Henningsen dowódca kompanii szturmowej pada, chwytając się obiema rękami za brzuch. Po lesie dźwięczy niczym na zakończeniu polowania, niesamowicie jednak, sygnał rogu: *Stosstrupp zurück!* (Oddział szturmowy do tyłu!).

GDY NA ODCINKU WSCHÓD toczył się heroiczny bój placówka „Prom”, czujka kaprala Szamlewskiego i „Fort” mata Rygielskiego, nowa akcja niezmiernie ważna dla tej pierwszej fazy walki rozgrywała się nad kanałem portowym. Po drugiej jego stronie, w Nowym Porcie Niemcy nie przypadkiem ewakuowali ludność. Nowy Port bowiem miał otrzymać nowych „mieszkańców”. W oknach górnych pięter domów, w śpiżniach zbożowych, a więc na wyniesionych wysoko punktach posiadających nad Westerplatte przewagę wysokości umieścili Niemcy broń maszynową, ponad dwadzieścia stanowisk ogniowych. To one właśnie w pierwszych momentach walki pokrywały Westerplatte baldachimem pocisków, z których co trzeci był świecący, to one przyciskały do ziemi obrońców i czyniły tak trudnym poruszanie się w terenie. I przeciw nim obrona wytacza do ogniowego sporu swój wielki argument: działo 75 milimetrów.

Stanowisko dla dział przegotowane było pod brzoza, którą i dziś można ujrzyć przy zakręcie drogi. W ostatnich dniach sierpnia wykonano tu schron dla załogi dobrze okapowany stropem z belek i ziemi. Samo stanowisko ogniowe i schron doskonale zostały zamaskowane. Działo... Stare działo rosyjskie z 1902 roku, 76-milimetrowe, pamiętające czasy cara Mikołaja, przeobrobione (koszulkowane) między wojnami na kaliber 75 milimetrów. Kapral Grabowski, gdy ujrzał je po raz pierwszy, miał nawet wątpliwości, czy aby przy pierwszym strzale się nie rozleci. Jak na razie jest do niego 300 siedmiokilogramowych pocisków. Przeciw pancernikowi to mucha, ale przeciw stanowiskom broni maszynowej...?

Kapral Grabowski wraz z celowniczym, Kłysem, zamkowym kanonierem Jakubiakiem, ładowniczym kanonierem Spizarnym, kierowniczym kanonierem Żolnikiem, amunicyjnym kanonierem Filipkowskim wytaczają z magazynu działo. „Zaraz za drzwiami magazynu otrzymujemy ogień z broni maszynowej — wspomina kapral Grabowski. — Pociski świetlne dzwonią po tarczach. Swist kul. Rozumiem co to znaczy — nie pozwolą nam dotrzeć nawet do stanowiska. Skracamy między drzewa.”

Droga znajduje się pod silnym ogniem broni maszynowej. Ciężka to była prępa — ciągnąć 1150 kilogramów między drzewami po miękkim leśnym podłożu. Po kilkunastu minutach obrońcy przebywają 300 metrów odległości dzielącej magazyn od stanowiska ogniowego dział. Stanowisko jest dobre — wszystko pasuje. A więc jak na poligonie: zdejmują kaptury ochronne. Ładowniczy wyciorem przeciera lufę, amunicyjny wyciera pocisk i smaruje pierścień wodzący waleriną. Der podaje cel: karabin maszynowy w okienku latarni morskiej, celownik 400, granat ładunek normalny, za-



Przed szturmem piechoty na ten mur Niemcy skierowali ogień pancernika

palnik z krótką zwłoką. Obsługa pracuje zupełnie spokojnie, jak na poligonie, celowniczy dokładnie celuje, jak go uczono...

„Gotowe, od dział pal!”

Artylerzyści mają sekundę napięcia: okropne to, pocisk ponad latarnią poszedł gdzieś w niebo. Zwykła zresztą rzecz, działo przy pierwszym strzale na miękkim gruncie się osadza. Grabowski każe oddać drugi strzał na tym samym celowniku, bez wprowadzenia poprawek. Jest! Pod okienkiem latarni czarny dymiący otwór. A więc to, czego działon uczył się podczas pokoju sprawdziło się w warunkach bojowych. To dodaje sił. „Stoję za celowniczym na przedłużeniu lufy, aby móc kontrolować jego pracę i podawać dane każdego strzału. I tak, kolejno, w lewo budynek po budynku okno po oknie. Teraz nie ma już pocisków, które przenoszą. Za każdym razem okna się powiększają, a lufy karabinów maszynowych, które jeszcze przed chwilą błyskały ogniem, gdzieś znikają, naturalnie wraz ze znieawidzoną obsługą...”

Po chwili nadbiega z placówki „Przystań” starszy strzelec Maca z podziękowaniem dla obsługi od porucznika Kregielskiego: wielka to pomoc dla placówki tkwiącej w otwartym terenie pod ostrzałem niemieckiej broni maszynowej. Działo oddało dotychczas 28 strzałów, że świetnym w sumie rezultatem. Pojawia się też porucznik Grodecki z poleceniem oszczędzania amunicji — walka jeszcze pociągnie się.

TRZEBA SIĘ BRONIC przynajmniej 12 godzin, a może i dłużej.

Ciosy jedyne polskiego dział były bolesne, wiele stanowisk utraconych, wiele zniszczonej broni, wielu ludzi zginęło. Nie może to ująć Polakom płazem. Na pancerniku są już dokładne dane o placówce „Prom”, są też dane o miejscu postoju dział, które tak dawało się we znaki. Kapral Grudziński, dowódca wartowni numer 2, który miał ze swego stanowiska dowodzenia widoczność na kanał i widział wieżę pancernika, stracił ją nagle z pola widzenia. „Nagle przez gałęzie drzew przeszedł błysk i prawie równocześnie nastąpiła eksplozja, a z zakrętu kanału zaczął się bardzo powoli wysuwać pancernik „Schleswig-Holstein”...”

Wszystkie jego działa, skierowane na Westerplatte mniej więcej pod kątem 45 stopni i... zionęły ogniem. Wspaniały i groźny był to widok. Pancernik nie przerzucał ognia, ale posuwając się powoli zmiażdżył wszystko przed sobą. Piękny las kładł się pokotem. Olbrzymie pnie, wyrzucane przy wybuchu pocisków w górę, waliły się łamiąc mniejsze drzewa... Pociski rwały się już przed wartownią. Swiszczały odłamki pocisków artyleryjskich i wpadały przez okna strzelnicze...

Ten marsz zniszczenia, który odbywa „Schleswig-Holstein”, pieczętuje

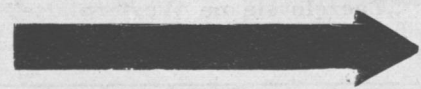
los samotnego polskiego dział pod białą brzoza. Już pierwszy pocisk trafia w drzewo, łamie je, drugi roztrząskuje lewe koło armaty, uszkadza przyrządy celownicze. Dział chyli się w bok. Obsługa już leży na ziemi, wszyscy czołgają się w stronę schrodo, który daje nadzieję przetrwania. Gdy wyjdą w końcu ze schronu, ujrzą obraz zniszczenia — dział przewrócone i zasypane piaskiem, rozrzucone puste kulski i tragiczne kikuty pni sterczące ku wrześnieowemu niebu.

NA PLACÓWCE „PROM” odparcie drugiego natarcia było prawdziwym triumfem. Żołnierz okrzepł, nabył wiary we własne siły, 6 pustych skrzynek po amunicji dawało pojęcie o rozmiarze boju. Niedługo jednak przyszło cieszyć się sukcesem — nalot ogniowy pancernika i artylerii lądowej spadł ulewą pocisków na placówkę, która tak mężnie przyjęła na siebie ciężar pierwszych uderzeń. Fontanny piasku wylatują w górę, leżą obcięte gałęzie i potok liści. Porucznik Pająk robi krótki skok do budki telefonicznej, aby zameldować dowódcy o położeniu; gdy wraca, niewidzialny młot uderza go w brzuch i rzuca do tyłu. Traci przytomność. Chorąży Gryczman melduje majorowi Sucharskiemu o ranieniu porucznika Pająka i obejmuje dowództwo. Sanitariusz st. strzelec Wysocki i strzelec Okraszewski odnoszą ciężką ranę, ociekającego krwią dowódcę początkowo na wartownię numer jeden, gdzie na chwilę odzyskuje przytomność, a potem dalej do koszar, gdzie zaopiekuje się nim kapitan Słaby.

Położenie placówki komplikuje się. Z coraz nowych stron próbują Niemcy podejść i natarcia. Przez wyłom w murze, tuż naprzeciw placówki zjawia się niespodziewanie grupa Niemców — ale zostaje zlikwidowana przez strzelca Ziębę z erkaemem. Wkrótce potem Zięba otrzymuje ciężką ranę — odłamek pocisku przebija mu hełm i czaszkę, choć jeszcze trzyma się na nogach, ale nie może już mówić, umrze dnia następnego. Krew żołnierska wsiąka w piasek nadmorskiego ładu.

Pancernik nakrywa ogniem placówkę, pnie drzew wala się jedne po drugich. Nadchodzi godzina odejścia. Placówka „Prom” wykonała zadanie, przycięła walkę na wysuniętej daleko przed wartownię pozycji, uniemożliwiła zaskoczenie. Jeden po drugim, ściągawszy broń wycofują się żołnierze „Promu” w stronę wartowni numer 1, która stała się teraz ich wielką nadzieją: szarawy niewielki budynek o mocnych murach i dobrej załodze. Ale droga do niej jest daleka...

Niemieckie dział przeciwpancerne przed murem polskiego stanu posiadania



DLA WARTOWNI NUMER 1, która z kolei miała przyjąć ciężar natarcia, były to chwile niesłychanego napięcia. Żołnierze wartowni widzieli przez zabarykadowane okna, jak wokół wycofujących się żołnierzy placówki „Prom” rwały się pociski, jak wylatywały fontanny ziemi, jak skokami, biegiem zbliżały się zielone sylwetki w znajomych, jakże bliskich hełmach. Ale oto wyrastał problem — jeśli tuż za nimi pędzą Niemcy? Jak wtedy strzelać?... Plutonowy Piotr Buder, dowódca wartowni — znalazł się tedy w sytuacji w jakiś sposób przypominającej obronę Głogowa: „Ryczałem na nich z całej siły i nawoływałem przez okno, aby biegli, bowiem tuż za nimi mogli się lada chwila pojawić atakujący Niemcy, a ja musiałem zabarykadować się i otwierać ogień”.

Jeden po drugim wpadają obrońcy placówki „Prom” na wartownię, wyczerpani, zmordowani, zziębnięci, w przepoconych, zapiaszczonych mundurach, czarni od dymu i ziemi... ale z bronią w ręku. Ktoś wyczerpany do ostatka błaga o wodę, a potem pije z naczynia, w którym zmywano menażki. Ale to tylko chwila. Nowa broń ustawiana jest w oknach. **MOGA NADCHODZIC!**

Wartownia numer 1... Kwadratowy budynek o grubych szarych murach. Świetnie dostosowana do terenu, chroniona jest wzniesieniem przed bezpośrednim ogniem artyleryjskim od strony kanału. Wzdłuż zewnętrznych ścian od strony wschodniej stały tu zamknięte ławki, w których do 1 września ukryte były dwa erkaemy, 60 granatów ręcznych obronnych, amunicja do karabinów i erkaemów. W niewielkim pokoiku, wydzielonym pomieszczeniu, leżały worki z piaskiem — teraz umieszczone w oknach — rakietnica i rakiety. Jeśli odsunęto się zasuwkę specjalnej pokrywy, można było się do-

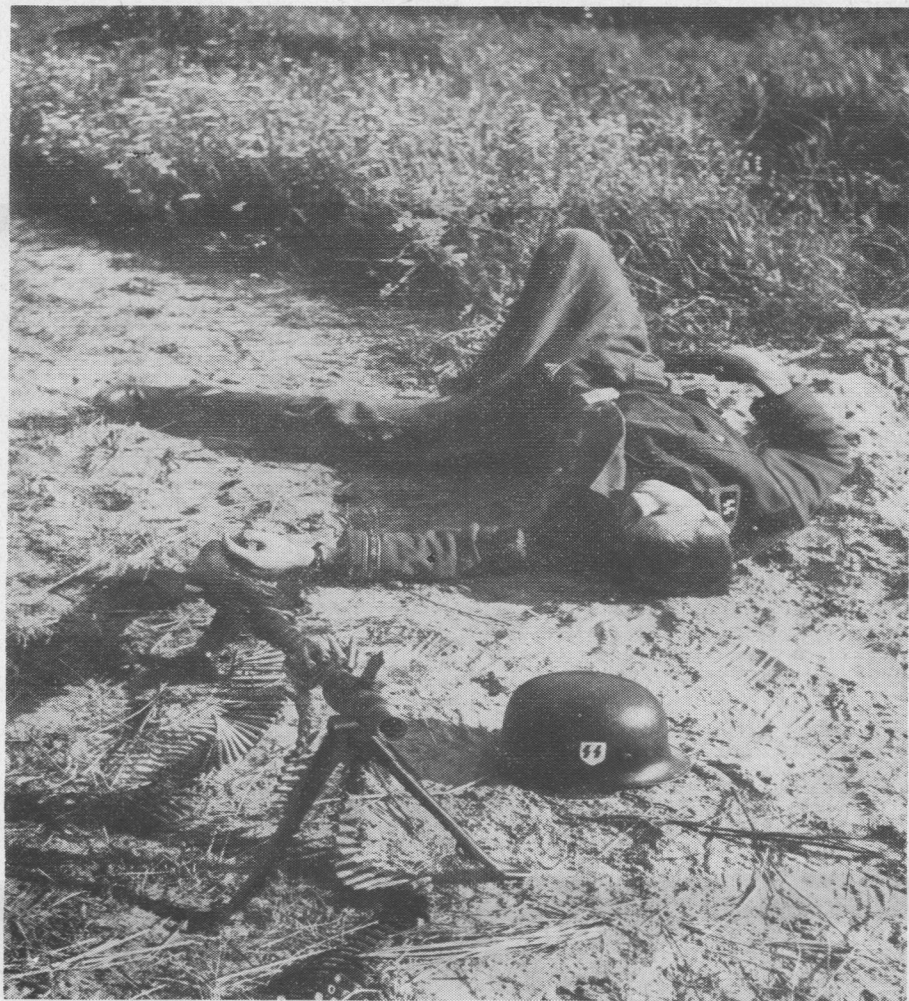
stać na dół, gdzie tkwiła główna moc wartowni — dwa cekaemy wzór 30 z zapasowymi lufami, gurtownicy do gurtowania amunicji i 5000 sztuk amunicji — potężna moc ogniowa w walce przeciw nacierającej piechocie.

Fala niemieckiego natarcia, przeto-czywszy się przez placówkę „Prom” i stanowisko Szamlewskiego, ukazała się oto oczom załogi wartowni. W polu widzenia wśród drzew poczęły migać mundury niemieckiej piechoty. I znów kolejna linia oporu polskiego zapala się ogniem. Wartownia przemienia się w miniaturowy wulkan zionący ogniem i dymem. Cekaemy ze stanowisk podziemnych stawiają zaporę płaską, ce-kaem Barana zdjęty z podstawy i erkaemy ustawione w oknach strzelają ogniem poszerzanym. Pojedynczy strzelcy wyszukują sobie pojedyncze cele. Wartownia dosłownie cała chodzi od huku, tynk opada, dym kłębi się, ludzie dosłownie głuchną. Żołnierz strzelający z cekaemu Barana nie może utrzymać go w rękach, karabin wyrwa mu się, odrzuca go do tyłu, praży po suficie i ścianach. Krzyk dowódcy i kolegów „PUŚĆ!”

Z lewej strony słychać jak bije wartownia numer 5 pod plutonowym Pe-tzeltem. Nieco z tyłu dobiega mocny głos wartowni numer 2 kaprała Grudzińskiego. Trudno oddać słowami to, co się w tych chwilach działo na wartowni. Widok padających i uciekających napastników, to, że się wygrywa, że nie daje się ziemi, że ściga się pobitego przeciwnika ogniem, może doprowadzić do szaleństwa. Nikt nie słyszał rozkazu „Przerwij ogień!” Nikt nie przestawał strzelać.

Wróg odchodził pędzony salwami i seriami. Po stanowiskach polowych kolejna polska linia oporu odnosiła tu swoje zwycięstwo...

ZBIGNIEW FLISOWSKI



Pokazy straży pożarnych zawsze stanowią dużą atrakcję. W Miynarach także

FESTYŃ



Spotkanie ludowych zespołów w piłce nożnej interesuje nie tylko młodych



Ani okrętowa artyleria, ani dwukrotne natarcie szturmowe piechoty, ani masa maszynowego ognia nie były w stanie zaskoczyć i złamać obrońców Westerplatte. Wobec tego zbrodniczy najeźdźca wprowadził do walki lotnictwo. Naloty goeringowskiej „luftwaffe” na polski stan posiadania w Gdańsku i dalszy ciąg polskiej obrony przedstawimy w następnym odcinku naszego cyklu „Zaczęło się na Westerplatte” w opisie pt. „GODZINA STUKASÓW”.



AVEC LEURS deux mille habitants, Młynary en Warmie (dans le nord de la Pologne) sont un des plus grands villages de Pologne. Mais leur aspect rappelle plutôt une bourgade aisée. Car au XIV siècle, Młynary reçurent droit de cité. De ce passé glorieux restent plusieurs monuments — dont des curieux greniers à blé. Qui eut l'idée de fêter le Millénaire de la Pologne par une grande kermesse? Disons que ce fut tout le conseil communal. Toujours est-il que toute la population fut mobilisée pour embellir le village, ravalier les façades, réparer les rues, rénover les fameux greniers à blé. D' une heure à l'autre, l'aspect de Młynary changeait. La kermesse fut aussi une réussite, les attractions succédant aux attractions. Et l'an prochain — dans un village qui se sera offert l'éclairage lumineux — nous pourrions assister à une nouvelle kermesse, que la presse appellera „traditionnelle”. Comment pourrait-il en être autrement dans un village qui compte six siècles d'histoire?

W MŁYNNARACH

W ARMIŃSKIE MŁYNNARY to jedna z największych wsi w Polsce. Szatą zewnętrzną przypominają spore miasteczko. Krzyżują się tam liczne ulice, stoją piętrowe domy, okazały rynek też nie odpowiada tradycyjnym wyobrażeniom o wsi.

W Młynarach mieszka 2 tysiące osób i 600 lat historii. Dzisiejsza wieś w połowie XIV wieku dorobiła się praw miejskich. Z odległej świetności pozostało trochę zabytków, wśród nich śpichrze zbożowe, jedne z najstarszych w Polsce. Pozostała też duma mieszkańców uzasadniona rodowodem sięgającym w czasy piastowskie i zahartowana wytrwałym oporem przed wpływami germanizacyjnymi.

Jeszcze przed kilkoma miesiącami życie w Młynarach płynęło, jak przystaje starej wsi, statecznie. Ale wymyślony wiosną przez gromadzką starszyznę projekt urządzenia wielkiego festynu ludowego na Milenium, spełnił rolę kija wepchniętego w mrowisko. Spokój znikł. Codziennie niemal wszyscy mieszkańcy ciągnęli na zbiórki. Punktualnie o 3 po południu na rynku dzielono zadania i chwytano za łopaty. Najsilniejsi młynarzanie przemienili się w drogowców. Z jezdni zerwali „kocie łby” i zastąpili je gładką kostką. Wyrównali chodniki. W zapale wytyczyli także kilka nowych ulic, na zapas.

Obdarzonym plastycznymi skłonnościami wręczono pędzle. Wszystkie kamieniczki otrzymały barwne elewacje i wyglądają teraz niczym domki z piernika. Najbardziej jednak pieczołowitych zabiegów wymagało odnowienie śpichrzy. W tym wypadku amatorskie umiejętności nie wystarczały i młynarzanie skorzystali z pomocy fachowców.

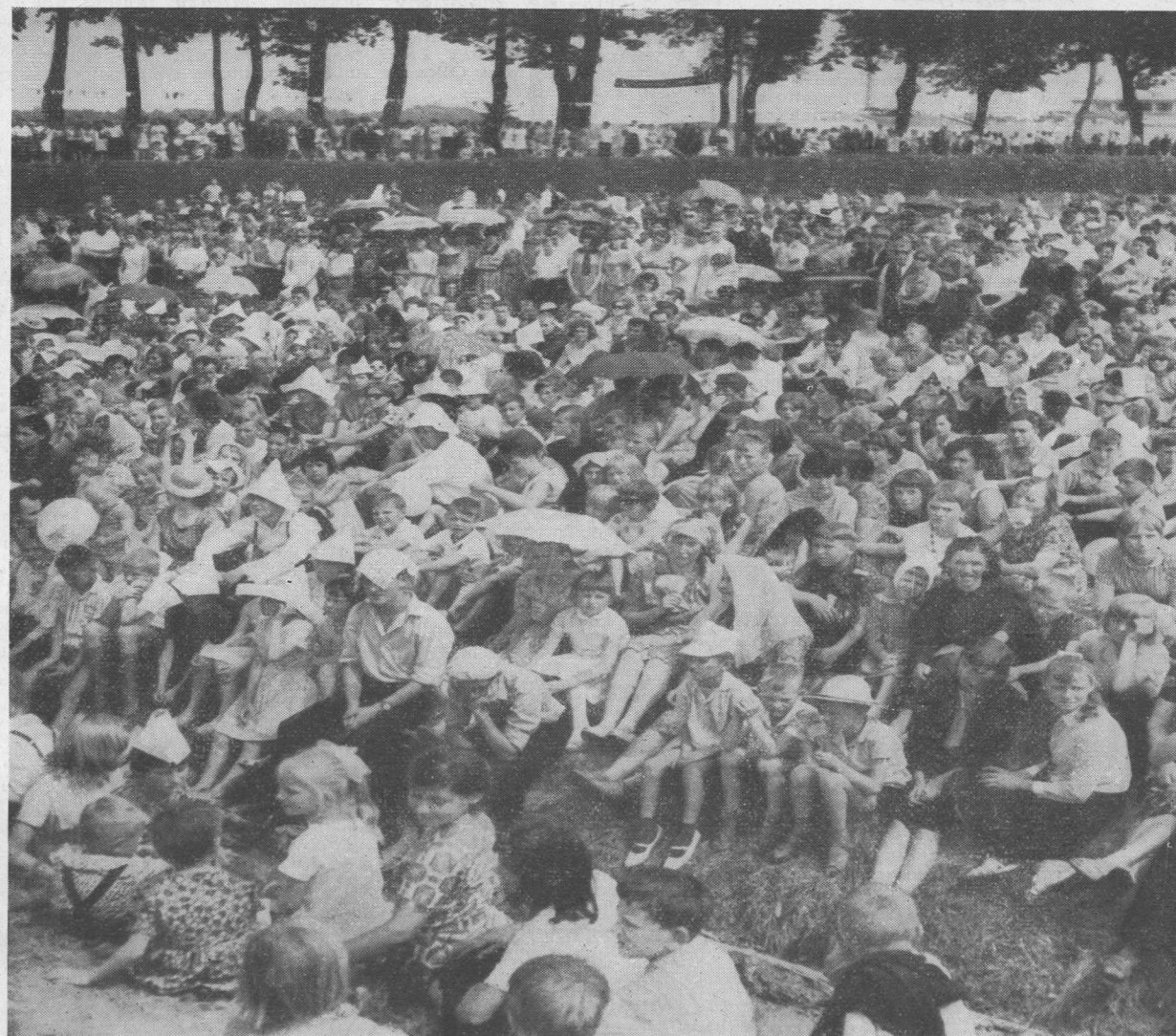
Dopiero, gdy nadszedł dzień festynu, mieszkańcy Młynar spostrzegli, jaki kawał roboty wykonali. W wyścigu z czasem tempo prac porządkowych ciągle wydawało się zbyt wolne. A teraz goście z sąsiednich wsi z widocznym trudem poznawali Młynary. I aspiracji do odzyskania praw miejskich nie kwitowali pobłażliwymi uśmiechami.

Sam festyn obfitował w wiele atrakcji. Były tańce pod sufitem z gwiazd i orkiestra na przyczepie samochodowej. Młodzież pasjonowała się zawodami sportowymi. Oprócz typowo festynowych „wyścigów z jajkiem” odbyły się rozrywki całkiem serio. Najbardziej rozpalili umysły uczestników i kibiców turniej piłki nożnej. Zaciętością boje w Młynarach nie ustępowały zmaganiom o Puchar Świata na angielskich stadionach. Demonstrowano pokazy hippiczne, w których uczestniczyły także warmińskie amazonki. Młodzieży męskiej bardziej jednak imponowali jeźdźcy gymhany, wymyślnego wyścigu motocyklowego z przeszkodami.

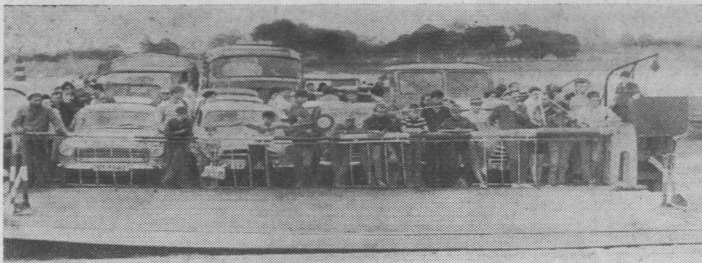
Ale od festynowych emocji ważniejsze jest to, że zapal do utrzymania wsi na „wysoki połysk” zagościł w Młynarach na stałe. Po festynie snuto dalsze projekty upiększenia wsi. Niektóre, jak na przykład, plan założenia nowoczesnego oświetlenia fluorescencyjnego na ulicach, mogą się wydać zabawne. Ale przeżywające drugą młodość Młynary nie lękają się takich opinii.



Sprawność na motocyklu, najpopularniejszym dziś pojeździe wśród młodzieży polskiej na wsi, przejazdy przez przeszkody, skoki itp. zgromadziły tłumy widzów, zwłaszcza gdy jechały dziewczęta



T e k s t: STANISŁAW WYSZOMIRSKI
Zdjęcia: WOJCIECH ŁASKI



■ Coraz więcej turystów

W tym roku już ponad 40 000 Rodaków odwiedziło Kraj. Przez Rzepin i Słone koło Kudowej codziennie przyjeżdża do Polski po kilka tysięcy turystów. Zwiększył się także ruch turystyczny przez punkt graniczny na Łysej Polanie. Tędy przejeżdżają autokary kursujące na trasie Kraków — Wiedeń — Kraków. Punkty graniczne w Tatrach do połowy sierpnia przekroczyło 300 tysięcy turystów, w tym ponad 10 tysięcy z krajów zachodnich i około 100 tysięcy z Czechosłowacji. Na polskich szosach spotkać można wielu młodych Francuzów, głównie studentów i robotników, którzy zaopatrzyli się w popularne w Kraju książki Autostopu.

Skandynawowie przyjeżdżają promem do Swinoujścia. Jest ich z roku na rok więcej. W ub. roku do 9 sierpnia przyjechało do Polski 7.279

Skandynawów, którzy przywieźli 2.529.361 złotych dewizowych (1 F = 4,80 zł dewiz.). W tym roku do 9 sierpnia przyjechało 8.992 Skandynawów, a wartość skupu walut przyniosła państwu 3.366.202 złotych dewizowych.

Na zdjęciu prom w Swibinie (woj. gdańskie), który przewozi dziennie około 500 pojazdów i 4 000 pasażerów udających się do Krynicy Morskiej i innych miejscowości wypoczynkowych na Mierzei Wiślanej.

■ Kto zjadł „rodaka” spod Będzina?

Pra-przodek nasz, nazwany przez naukowców, którzy go odkryli „człowiekiem oryńskim” prawdopodobnie mieszkał w odległości około 11 km od dzisiejszego Będzina. Żył tam w tym samym okresie — w którym żyły mamuty i inne zwierzęta kopalne; ich szczątki odnajduje się w pobliżu Będzina na terenie wielkiej piaszkowni. Istnieją poważne przesłanki, że pra-przodek w owych odległych czasach po prostu... zjedł. Być może, ludożerstwo miało wówczas podłoże obrzędowe — działo się to kilkadziesiąt tysięcy lat temu i trudno byłoby wysnuć jakieś hipotezy związane z tym wydarzeniem.

Tyle, że ów człowiek na pewno nie mieszkał tam, gdzie go znaleziono. Natomiast pod Olkuszem istnieją ślady zaludnienia. Ludzie w okresie młodszego paleolitu, do którego zalicza się znalezione narzędzia kamienne. Być może oryńscy mieszkańcy Zagłębia wędrowali pod Olkusz po broń i narzędzia.

■ Śmierć Tadeusza Meissnera

W Gdyni zmarł kapitan żeglugi wielkiej Tadeusz Meissner w wieku 64 lat. Od swych najmłodszych lat związał się z morzem. Gdy Polska nie posiadała jeszcze floty handlowej wstąpił do Państwowej Szkoły Morskiej w Tczewie. Weześniej zrzucił żołnierski mundur, by walczyć w powstaniu śląskim. Pływał On w okresie międzywojennym i w czasie wojny na różnych statkach.

■ Notatki angielskich jeńców wojennych odnalezione w Poznaniu

W czasie rozbiórki starego budynku przy ulicy Dąbrowskiego w Poznaniu odnaleziono butelkę, w której znajdowały się kartki z zapiskami w języku angielskim. Zawierały one częściowe dane biograficzne i 4 nazwiska brytyj-

skich jeńców wojennych, uwięzionych przez hitlerowców. Butelkę zamurowano w ścianie piwnicy przebudowanej przez jeńców na schron. Notatki, które napisane zostały ówczesnym na kartkach z nadrukiem niemieckim, mi-

mo pewnego zniszczenia udało się odczytać.

Pochodzą one z kwietnia 1944 r. Na jednej z kartek znajdują się nazwiska Fryderyka Everitta z Londynu i Franka Oddy z Birmingham z informacją, że obaj dostali się do niewoli niemieckiej przed 4 lata, a więc w roku 1940. Na następnej kartce Leonard Jamse Key z Londynu pisze, że schwytano go we Francji w 1940 r., jako jeńca wojenny w latach 1940—1944 pracował 11,5 godzin dziennie dla Adolfa Hitlera za 300 gramów chleba i 1 litr zupy. „Anglia będzie żyć zawsze. Boże chroń króla” kończy autor. Na trzeciej kartce znajduje się podobny pochodzący z kwietnia 1944 r. tekst napisany przez Fryderyka Charles Pye z Londynu.



PROSTO Z POLSKI

■ Światowy Kongres Żywności w Warszawie



„Postęp w nauce o żywności — kluczem przyszłości człowieka” pod takim hasłem obradował w Warszawie w dniach 22—27 sierpnia br. II Międzynarodowy Kongres Nauki i Technologii Żywności. Uczestniczyli w nim wybitni specjaliści tej dziedziny nauki z 50 krajów. Z delegacji zagranicznych największą była amerykańska licząca około 200 osób.

Jak zaspokoić wzrastające zapotrzebowanie na żywność, mając na uwadze, że w roku 2000 podwoi się ludność świata? Ta teza przewijała się przez większość wystąpień uczestników Kongresu. I chociaż każdy z referatów i doniesień naukowych dotyczących innego problemu, to końcowe wnioski były jednoznaczne: mniej marnotrawstwa, lepiej wykorzystywać surowce i tą drogą zwiększać ilość żywności.

Z okazji Kongresu w salach Politechniki Warszawskiej otwarto wystawę poświęconą osiągnięciom polskiego przemysłu spożywczego, z której fragment na zdjęciu.

■ Modniejsze i tańsze

W łódzkiej „Olimpii” zainstalowano nowe maszyny dziewiarskie sprowadzone z Belgii. Inwestycja ta pozwoli na nowy system produkcji. Zamiast dzianiny metrażowej — którą dopiero trzeba kroić i szyc, będzie się wytwarzać gotowe części odzieży, np. plecy, przody — rękawy itd.

Wyroby otrzymywane z gotowych części są efektywniejsze — lepiej leżą i są łatwiejsze w produkcji, a do tego jeszcze jedna zaleta: wymagają mniej surowca.

■ Przybywa lasów

Po wojnie przybyło w Polsce 1.924 tysięcy hektarów lasów. Co roku powierzchnia lasna przeciętnie powiększa się o ponad 81 tysięcy ha. Warto przypomnieć, że w okresie międzywojennym co roku ubywało 23 tysiące ha lasów.

Obecnie 26% powierzchni Kraju jest zalesione. Najbardziej zielonym województwem jest Zielonogórskie. Lasy zajmują tu blisko 44% powierzchni, w Kozalińskim 35%, w Rzeszowskim 31%, a w Katowickim 30%.

■ Tajemnica Zatoki Gdańskiej

Zatoka jednego ze statków badawczych Polskiego Ratownictwa Okrętowego podczas przeszukiwania przy pomocy echosondy nabrzeży Zatoki Gdańskiej, natrafiła na dwa wraki statków spoczywające na głębokości 30 metrów. Badając ich położenie, nurkowie stwierdzili, że jeden z wraków nie zapadł się w dno morskie. Okazało się, że leży on na kadłubie innego statku, który jest już prawie całkiem zamulony. Nurkowie wydobyli z górnego statku części mechanizmu i innych urządzeń, które wskazują na to, że statki te mają 200—300 lat.

Naukowców zaintrygowała niezwykła pozycja tych dwóch wraków. Przypuszczają, że mogły one zatonać w czasie bojowego starcia lub zderzenia.

KRONIKA KULTURALNA

● W zabytkowym, renesansowym Zamościu powstaje galeria malarstwa współczesnego — pierwsza tego typu placówka na Lubelszczyźnie. Zakupiono już pierwsze eksponaty, między innymi 14 obrazów namalowanych przez uczestników ogólnopolskiego spotkania artystów, tak zwanego pleneru zamojsko-wierzynieckiego.

● Od kilku tygodni w wielu zakątkach Gdańska, na pełnych kwiatów skwerach, stoją granitowe rzeźby, dar gdańskiego rzeźbiarza Alfonsa Łosowskiego.

● Po raz trzeci nadsyła już z Rzymu pan Emeryk Hutten-Czapski dary dla polskich muzeów. Między innymi dla Muzeum Narodowego w Krakowie przekazał 12 rycin, portretów Mikołaja Kopernika wykonanych w różnych epokach.

● Barka „Złota Kaczka” płynąca Notecią, Wartą i Odrą, posiada na pokładzie wystawę kultury ludowej

Tygodniowa GAWĘDA

Wkrótce odbędzie się w Kraju Kongres Kultury — cała Polska czyni przygotowania, by to święto wypadło jak najokazalej. Powstana nowe domy kultury, biblioteki uzyskają nowe gmachy, przypomnieni zostaną zmarli twórcy, na ich grobach uporządkowanych staną warty honorowe. Teatry przygotowują troskliwie nowe premiery. Przypomni się wiele utworów polskich kompozytorów, znacznie rozszerzy się ilość księgarń, kiosków sprzedający gazet itd. itd.

W dzisiejszej gawędzie chciałbym przypomnieć tylko o jednej kwestii z tym się wiążącej. Przed trzydziestu laty odbył się już taki Kongres — we Lwowie i obecny Kongres nieprzypadkowo nawiązuje do tamtych lat. Wówczas w Kongresie wzięło udział wielu twórców z różnych dziedzin, których łączyło jedno: wrogość do faszyzmu. Rzecz prosta, że ówczesne rządy niechętnym okiem patrzyły na spotkania poetów, pisarzy, aktorów i reżyserów,

Podhala. Wśród około 150 eksponatów są stroje góralskie, sprzęty, narzędzia gospodarskie i domowe. Kilku-dniowe postoje na wodnym szlaku ściągają zwiedzających.

Przed Kongresem Kultury ♦ Pamiętny 1936 r.

malarzy i rzeźbiarzy, którzy nie mieli ochoty „bijać w obłokach”, ale twardo stanęli na ziemi i pragnęli swój talent oddać dziełu budowy sprawiedliwości w Ojczyźnie. Nieprzypadkowo poeta Leon Pasternak dwukrotnie zesłany był do obozu koncentracyjnego w Berezie Kartuskiej, nieprzypadkowo inni pisarze ładowali w więzieniu, a policja dokonywała aresztowań podczas wieczorów autorskich Władysława Broniewskiego czy Edwarda Szymańskiego. Chłopskiego poetę Mariana Czuchnowskiego prowadzono skutego kajdanami przez ulice Warszawy...

W ogóle rok 1936 był pamiętnym rokiem. Wówczas to demonstracje 1-majowe zmieniły się w polskich miastach w boje i szereg przegranych. W Warszawie szło w pochodzie 80 tysięcy, w Łodzi 60 tysięcy. Pochody były wspólne, szli razem socjaliści i komuniści, robotnicy bezpartyjni, młodzież. Za przykładem Francji dokonywał się w Polsce Front Ludowy i odnosił sukcesy. Wybory do łódzkiej Rady Miejskiej przyniosły przytłaczające zwycięstwo wspólnej liście. Coraz częściej dochodziło też do współpracy z chłopami, którzy w tym roku znacznie bardziej zdecydowanie wystąpili przeciw zniemawidzonemu rządowi.

Fala strajków robotników, demonstracji bezrobotnych i bojowych wystąpień chłopskich załapała cały Kraj. Obok żądań poprawy bytu i zmiany ustroju podczas tych akcji coraz głośniej rozlegało się żądanie zmiany polityki zagranicznej. Minister Beck, który powszechnie był zniemawidzony za współpracę z Hitlerem, nie przejmował się jednak tymi wystąpieniami i nadal popierał tych, którzy za kilka lat mieli napaść na Polskę.

Tak, tak, pamiętny to był rok...

MARIAN

7 dni w skrócie

OLSZTYN — Na międzynarodowy zlot gołębi do Holandii wysłano 26 gołębi. Po zawodach powróciło jednak 27 ptaków. Okazało się, że gościem jest gołąb z Rumunii, który zakochał się w pięknej gołębiczy — olsztyńiance. Próby przekazania adoratora właścicielowi nie powiodły się. Gołąb odesłany do Bukaresztu powrócił po kilku dniach do Olsztyna do swej wybranki.

ŁÓDŹ — Do jednego z biur w centrum miasta zgłosił się wyjątkowy patent. Zaproponował on zamianę starej ławki z poczekalni tego biura na nową. Patentem okazał się lutnik z Piotrkowa, który wzorem Stradivariusa chciał ze starego drzewa zrobić skrzypce. Kierownik biura nie zgodził się na transakcję, kiedy dowiedział się o wartości starej ławki, kazał ją przenieść do swego gabinetu.

NOWY SĄCZ (Krakowskie) — W czasie prac drogowych na rynku odkryto mury gotyckiego ratusza spalonego w 1894 r.

ŁÓDZKIE — Na Pilicy trwa pogoń za „zbiegłymi” karpami, które wymknęły się podczas powodzi ze stawów hodowlanych Państwowych Go-

spodarstw Rolnych. Część „uciekierów” już wylowiono.

SZCZECIN — Zespół konstruktorów opracował projekt techniczny nowoczesnego statku o nośności 25 tysięcy DWT, który zostanie wybudowany w szczecińskiej stoczni na eksport. Będzie to największa jednostka budowana w krajowych stoczniach.

CZĘSTOCHOWA (Katowickie) — W „Rudnikach” rozpoczęto produkcję cementu i cegły tzw. metodą suchą. Polega ona na jednoczesnym rozdrobnieniu i wysuszeniu surowca, a następnie dopiero załadowaniu go do olbrzymich pieców obrotowych.

PSZCZYNA (Katowickie) — Budynki gospodarcze Zamku, dawne księżęce stajnie i ujeżdżalnie zostaną przebudowane. Stajnia przeobrazi się w galerię malarstwa, w ujeżdżalni otwarte zostanie kino, a na piętrze hotel i restauracja.

SKOROCICE (Kieleckie) — Po kilku latach nieobecności zawitał w okolicy Buska Zdroju, do rezerwatu przyrody w Skorocicach duży rozmiarów pajak-płaszcz. Jest on znacznie większy od pajaków normalnie występujących w Polsce i łwi w swe statki nie tylko muchy, ale nawet duże trzmiele i baki. Pojawienie się ptaszki w rezerwacie wywołało sensację w kołach naukowców.



Jeden z kilku pawilonów handlowych Piechcina, zaspokajający bieżące potrzeby załogi kamieniołomów

Jak PIECHCIN został miastem

ZMIENIŁA SIĘ po wojnie i ciągle się zmienia mapa Polski. Wyrastają na niej nowe punkciki, oznaczające miasta i miasteczka, których jeszcze kilka lat temu nie było. Nie chodzi tu o Nową Hutę, Nowe Tychy czy Nową Dąbrowę, które są dziś powszechnie znane, ale o takie miejscowości jak np. Mońki, Piechcin, Bełchatów i wiele innych. Nazwy mają one stare, odwieczne nieraz, ale dawniej były zapadłymi dziurami, a teraz urosły do rzędu miast.

Taki np. Piechcin na Kujawach. Kto o nim dawniej słyszał? Wprawdzie od przeszło stu lat istniały tu jak i w sąsiedniej Bielawie i Wapiennej kamieniołomy, z których wydobywano wapień, ale dla lokalnych potrzeb i w niewielkich ilościach. Miejscowości te położone są na Wale Kujawskim, ciągnącym się ok. 12 km między Barcinem a Pałocią w powiecie Szubin w woj. bydgoskim. Wał kryje w sobie na głębokości zaledwie 4 metrów cenne pokłady wapienia. Wykształcił się nawet w tych stronach zawód skalnych rębaczy i ładowaczy, przechodząc nieraz z pokolenia na pokolenie, z ojca na syna. Ale cóż to była w nim za praca: ciężka, trudna, niebezpieczna. W okresie międzywojennym wzrosło zapotrzebowanie na miejscowy kamień, wydobywano go nawet do 100 tys. ton rocznie, ale 600 robotników zajętych w kamieniołomach żyło tu jakby w odcieciu od świata.

Radykalna zmiana nastąpiła przed kilkunastu laty, kiedy unowocześniono Kujawskie Zakłady

Przemysłu Wapienniczego z siedzibą w Bielawie. Powstał kombinat z nowo wybudowanymi działaniami. Wśród pól wzniesiono budynki. Wydobywanie i przerób wynoszą obecnie ponad 3 miliardy ton kamienia wapiennego, mączki wapiennej, wapna budowlanego i hydratyzowanego, nawozowego, palonego i mielonego, kamienia cementowego itd.

Wraz z zakładami przemysłowymi wyrósł i jeszcze rośnie nowy Piechcin. Już dziś jest jednym z nowocześniejszych miasteczek, w którym mieszka 1800-osobowa załoga kombinatu oraz jej rodziny. Z jego poszczególnych zakładów prowadzą szosy do Piechcina. Nowe bloki mieszkalne, usytuowane wśród zieleńców i placów zabaw dla dzieci, robią wrażenie zaskakujące. Nic tu starego i drewnianego. Jasne tynki domów i kolorowe balkony harmonizują z zielenią skwerów i zadrzewionych alei. Wolno stojące pawilony handlowe, przedszkola, imponujący ośrodek zdrowia i szkoła dla 750 dzieci, kluby Górnika i Emeryta.

O rozwój Piechcina dbają Zakłady. Z ich funduszy powstał piękny Park Tysiąclecia z pawilonem-kawiarnią, basen z łabędziami oraz muszla koncertowa. Zakłady finansowały także budowę basenu kąpielowego, lodowiska, góry saneczkowej, jarzeniowe oświetlenie ulic oraz stadion.

Dyrektor Zakładów, poseł inż. Stanisław Hałas, którego dziadek i ojciec byli robotnikami w kamie-



Praca w ogromnej hali przeróbki kamienia wapiennego jest zdalnie kierowana. Pracownicy obsługujący pulpit sterowniczy sprawdzają sytuację w hali na umieszczonym obok specjalnym odbiorniku telewizyjnym

niolomach, tak przedstawia dalsze plany miasteczka, które będzie liczyło ponad 3 tys. ludzi.

„Budujemy bloki mieszkalne, ale już w przyszłym roku zaczynamy budowę domków parterowych z ogródkami. Chodzi nam o to, by ludzie starsi nie musieli chodzić po piętrach i w wolnych od pracy chwilach mogli się zająć własnym ogródkiem. Dla starszych też organizujemy ogródki działkowe, z altankami i wodą do podlewania zieleni. W budowie są dwa dalsze pawilony handlowe, drugie przedszkole i pawilon sportowy.”

W Piechcinie mieszka dwóch byłych emigrantów z Francji.

Józef Maćkowiak liczy sobie 61 lat. Całe życie ciężko harował na utrzymanie. W 1930 r. wyjechał do Francji za pracą. Otrzymał ją w kopalni rudy Joeuf dep. Meurthe-et-Moselle u de Wendela. Jak wielu Polaków we Francji, odbył wojnę w wojsku polskim, był w niewoli. W 1946 r. wrócił do Kraju. Pracuje w Bielawie przy pompach, ciągle zdumiewa się zmianami w Zakładach i rozwijającym się Piechcinem. On, robotnik od najmłodszych lat, z dumą opowiada o dzieciach. Córka Zofia uczy się w Technikum Ekonomicznym, Irena wyszła za mąż za kolejarza, syn Edward skończył w br. szkołę zawodową.

W 1930 r. wyjechał też do Francji Jan Szczepański. I on otrzymał pracę w kopalni rudy jako minier w Hettange-Grande dep. Moselle. W 1947 r. wraz z rodziną wrócił do Kraju i w Piechcinie został wiertaczem. Mieszka w okazałym bloku i chociaż od pięciu lat jest na emeryturze, wraca do Zakładów, młodszemu pomoże, z kolegami porozmawia. Córka Czesława, wdowa, jest telefonistką, wnuczka uczy się w gimnazjum, druga córka — Cecylia jest żoną palacza przy piecach obrotowych, dwie jej córki w szkole. Maćkowiak i Szczepański mówią, że ich dzieci i wnuki inne mają dzieciństwo niż oni.

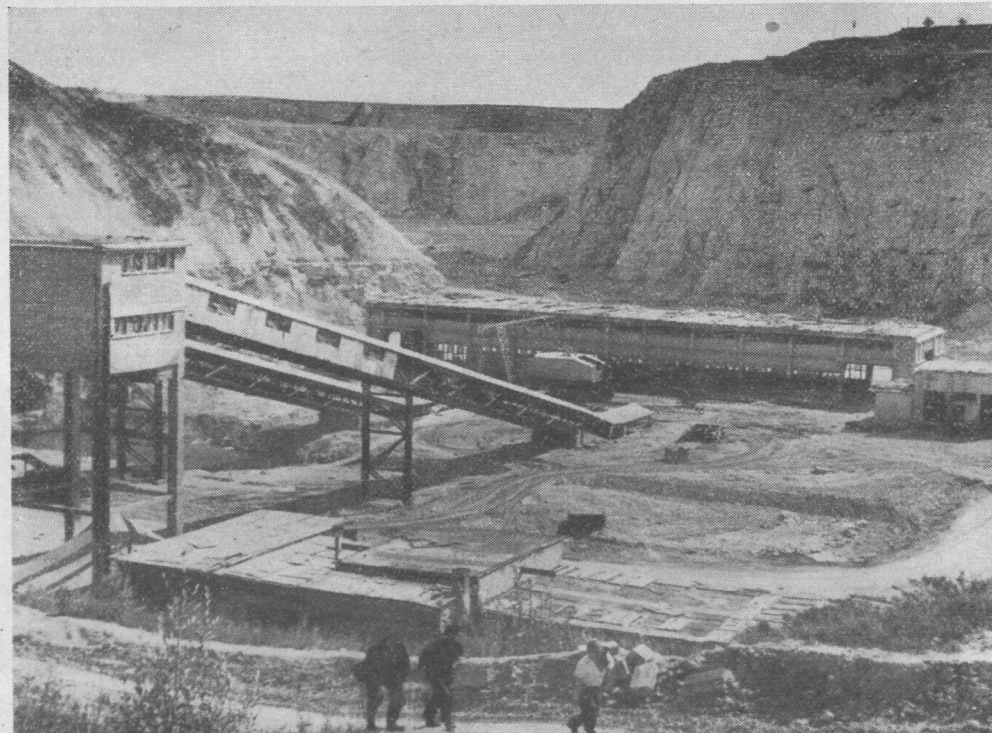
E. Or.



Bloki mieszkalne, urządzenia sportowe i rozrywkowe, w tym również i pływalnia, uczyniły z tej małej, nie znaczącej dawniej wioski nowoczesne miasteczko



Poniżej ogólny widok kamieniołomów w Bielawie, jednego z zakładów wydobywczych wielkiego kombinatu: Kujawskie Zakłady Wapiennicze. Codziennie odjeżdża stąd pociągami ok. 40 tys. ton wapienia





Rysio Marczak solista zespołu swoimi śpiewkami „Głęboka studzienka” i „Karolinka” ujął za serce premiera i zapracował na zaszczytne zaproszenie

O TAKICH PRZYPADKACH czyta się w książkach, w jesienne wieczory opowiadają o nich swoim wnukom stare babcie, a Ryškowi wydarzyło się przeżyć to na jawie.

Rok temu w październikowy dzień, goszczony przez rząd francuski premier Józef Cyrankiewicz w podróży po południowej Francji zatrzymał się w Albi, gdzie miejscowy prefekt podejmował polskiego premiera obiadem. Dobry gospodarz swego regionu wpadł naraz na pomysł, że przecież niedaleko, o osiem kilometrów — w Cognac-les-Mines, jest jakiś polski zespół, który choć pracuje niewiele ponad rok, zdołał już zdobyć pewną sławę i zapewne dostojnemu gościowi miło będzie zobaczyć występ entuzjastów polskiego folkloru. I wtedy gdy nie spodziewający się niczego premier wyszedł po przyjęciu do parku, aby w cieniu drzew wypić kawę, popłynęła z harmonii rzuwna melodia kujawiaka i 12 par gnąc się w biodrach rozpoczęło zaimprovizowany pokaz. Zdumiał się, a potem radował, kiedy z 24 piersi tych młodych ludzi, z których żadne nie było jeszcze w Polsce, huknęła pieśń wielka, głośna i historia „Karolinki”: co to szła do Gogolina, potoczyła się między drzewami. A gdy mały 12-letni solista Rysio Marczak podniesiony w górę przez 12 mocnych dłoni, śpiewał wysokim dyszkantem o głębokiej studzience, premier bił brawa. Poprosił też ku sobie małego solistę i zapytał:

— Rysiu, a byłeś ty kiedy w Polsce, o której tak pięknie śpiewasz?

— Nie, nie byłem.

— To będziesz. Zapraszam na przyszły rok na miesiąc wakacji ciebie i twoje koleżanki i kolegów z zespołu.

Słowo było wielkie i już wtedy od października ub. roku zespół z Albi przygotowywał się do tego wyjazdu. A gdy w miesiąc potem w Cognac-les-Mines zjawił się polski konsul i przekazał im jako potwierdzenie zaproszenia piękny radiodbiornik „Turandot” wyprodukowany w Kraju, zaczęły im się dłużyć dni dzielące ich od wyjazdu. Świadomość, że będą gośćmi polskiego premiera, była dla nich najwyższym uznaniem za trud, którego nie szczędzili na licznych i żmudnych próbach tanecznych.

W połowie lipca czteromotorowy 100-osobowy „IŁ-18” wioząc do Polski liczną rzeszę dzieci jadących na kolonie, miał na swoim pokładzie również 24 osoby z zespołu „To i hola”. Mieli spędzić nad Wisłą miesiąc na wypoczynku, ale oni, rozmiłowani w polskim folklorze cwieczornymi opowiadaniem swych babci, rozbujani w swej twórczej fantazji spektaklami „Mazowska” i „Słaska” w telewizji, teraz wykorzystywali każdą wolną chwilę, aby skonfrontować to, o czym słyszeli z tym co jest. Nawiązali serdeczny kontakt z ludowym zespołem Kołbieli, gdzie

RYŠKOWA SZCZĘŚLIWA GWIAZDA



Polsko-francuskie audytorium podziwiała występy ambitnego zespołu z Tarn

Konsul Francji p. Jacques Sourdy oraz zaproszeni goście z Ministerstwa Oświaty gorąco i serdecznie oklaskiwali udane występy taneczne młodzieży



C'ETAIT en octobre dernier, lors du séjour du président du conseil Józef Cyrankiewicz en France. A Albi, au cours de la réception offerte à l'invité polonais, le préfet se souvint qu'à Cognac-les-Mines existait depuis peu un ensemble folklorique polonais... Et, quittant la table pour une promenade dans le parc, le premier ministre eut la surprise d'un spectacle bien polonais donné par 24 jeunes, 12 filles et 12 garçons qui n'avaient pourtant jamais vu la Pologne. Son remerciement fut digne de la surprise. Il invita l'ensemble „To i hola” tout entier à passer un mois de vacances en Pologne. Ce séjour fut un enchantement: excursions, spectacles donnés à leur intention par des ensembles polonais, contacts chaleureux, réception chez le vice-président du conseil, M. Waniółka, qui chanta et dansa avec les jeunes de Cognac. Tous ne pouvaient que remercier leurs hôtes varsoviens et M. Tadeusz Miszczak, créateur et animateur de l'ensemble.



6 par tanecznych to zaledwie połowa kompletu. W takim

Stroje mieli wypożyczone, bo któż by wioził własne tak



zademonstrowano obopólnie swe repertuary, pojechali za Mińsk Mazowiecki, by pokazać jak tańczą i co potrafią, na spotkaniu w Urzędzie Rady Ministrów u wicepremiera Waniolki sami odtańczyli tylko jednego krakowiaka, ale przez bite dwie godziny pożerali oczyma tańce kaszubskie i opoczyńskie, które dla nich wykonywał młodzieżowy zespół międzyszkolny „Młody Toruń”.

Zespołem w Świdrze zajęto się nie tylko od strony programowej. Delegat krajowego Ministerstwa Oświaty złożył z Rysiem Marczakiem wizytę prorektorowi Wyższej Szkoły Muzycznej w Warszawie prof. Zalewskiemu z prośbą o zbadanie możliwości śpiewaczych młodziutkiego Rodaka. Po próbie wokalne i badaniu wyczucia rytmu polski rzeczoznawca wysoko ocenił umiejętności chłopca z zespołu Cognac-les-Mines, ale na razie zalecił... roczną przerwę. Powód — mutacja.

Teraz zespół „To i hola” szykuje się do kolejnego wyjazdu na Festiwal do Hiszpanii. Wrócili z Polski zakochani w starym Kraju, a p. Tadeusz Miszczak, twórca i jego kierownik powtarza każdemu ciągle kręcąc z niedowierzaniem głową: „Ileż tam jest tych zespołów. Tam chyba co drugi Polak umie tańczyć krakowiaka”.

Ten miłośnik polskiego śpiewu i tańca, samouk, 39-letni górnik, po wypadku zatrucia, dziś jest magazynierem kopalnianym. Cały wolny czas poświęca

zespółowi. Stworzył go w lecie 1964 r. grupując dzieci górników swej miejscowości, a jest ich wielu — w Cognac-les-Mines jest około półtora tysiąca polskich rodzin, a w niedalekim Carmaux — dalszy tysiąc. Dzisiaj zespół ma nie tylko pełen zestaw taneczny i piękne krakowskie stroje, zakupione za własne zarobione pieniądze, ale także liczną szkółkę małych dzieci.

W ubiegłym roku w Aulnoy na konkursie tańców ludowych w północnej Francji zdobyli drugą nagrodę, w tym roku na międzynarodowym konkursie tańców ludowych w Valence d'Agen — pierwszą nagrodę. Taki sam sukces odnieśli w Asturii i w Hiszpanii, gdzie spośród zespołów francuskich, portugalskich i hiszpańskich nie mieli sobie równych w tańcu i strojach.

Rysio Marczak, syn polskiego górnika, który we wczesnej młodości wyjechał z zagarniętego Polsce Bytomia, podziela powszechny pogląd panujący w zespole, że do Polski pojadą jeszcze raz i to niedługo, bo już w przyszłym roku, tym razem już o własnych siłach, autokarem.

Jedną z pierwszych i najstarszych tancerek zespołu jest 19-letnia Helena Tafelska, pracująca obecnie jako sekretarka w domu towarowym. Jest tancerką pierwszej pary, a jej nieodłącznym partnerem prawie od trzech lat jest Norbert Czaplą. Oboje mówią piękną polszczyzną. Nic więc dziwnego, że Helena była tą,

ką w imieniu tysiąca polskiej młodzieży przemawiała na przyjęciu u wicepremiera w Warszawie, dziękując za miesięczny pobyt w Polsce.

Jej koleżanki: Alina Jurkowska, Olga Sumińska, Lilianna Śnieg, Jolanda Gładys, Liliana Suszek, Jądźwiga Wojcieszak, Rozalia Zasadny, Anna-Maria Jądźwowska i Alfreda Kicińska tańczą teraz zupełnie inaczej niż wtedy, gdy o polskich tańcach słyszały wiele ale nie widziały ich w prawdziwym polskim wykonaniu. Chłopcy: Norbert Czaplą, Christian Zalewski, Staszek Świerczewski, René Wojcieszonek, André Giendaj, Daniel Chrebor, René i Ryszard Marczakowie, Christian Hyży i Henryk Pilewski jeszcze bardziej dzisiaj dzielają zapał swego niestrudzonego kierownika p. Tadeusza Miszcza.

Z rozrzwieniem wspominają dzisiaj moment, kiedy po przyjęciu, jakie wydał na cześć młodzieży polonijnej wicepremier Waniolka, ich zespół, tylko zespół „To i hola” dostojny gospodarz przyjął na specjalnej audyencji, obiecał przekazać nieobecnemu w Warszawie premierowi Cyrankiewiczowi symboliczne dary, a potem stał z nimi w kręgu i razem śpiewał „Tam nad Wisłą w dolinie”, „Karolinke”, „Sza dziewczeczka do laseczka”. A gdy zrobiło się późno i zapadał wieczór, życzył osobiście p. Miszczakowi i im wszystkim wytrwałości w pracy i sukcesów w propagowaniu polskiej pieśni i tańca.

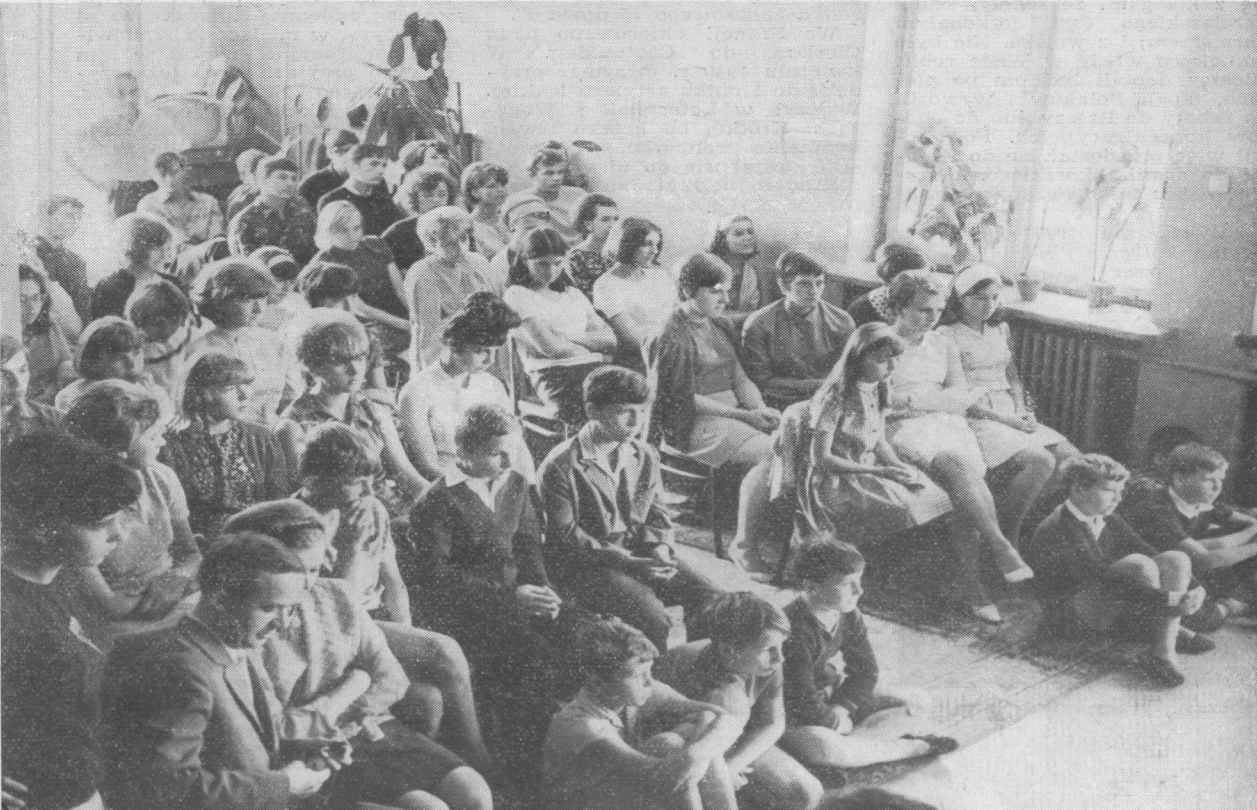


kim zestawie młodzi tancerze z Francji najczęściej odbywali próby wśród sosen w podwarszawskim Świdrze

tak daleko, ale zapewniali, że ich są ładniejsze



P. Tadeusz Miszczak, wraz ze swym zespołem dokłada wiele wysiłku, by sława „To i hola” ugruntowała się



Rysio podnoszony pod powalę przez silnych kolegów śpiewa o „Głębokiej studziennie”, z której czerpano wodę, a dziewczuchy zamiatają scenę wzorzystymi, aż oczy bolą, spódnicami krakowskiego stroju



Harmonia jest ich podstawowym instrumentem. Przy jej wtórce śpiewają wszyscy, soliści a także i chór



Jan Cieślak w czasie internowania w Szwajcarii. Zdjęcie to pochodzi z 1942 r.

ŻOŁNIERSKIE WSPOMNIENIA EMIGRANTÓW

PRZEZ ZAMKNIĘTE GRANICE



Na tydzień przed wybuchem wojny na przepustce w rodzinnej Wiśle w ukochanych Beskidach wraz z kolegami (drugi od lewej J. Cieślak)

NASŁUCHAŁ SIĘ W DOMU Jan Cieślak ojcowskich opowiadań o armii Hallera we Francji. Ojciec, dawny hutnik z Trzyńca, później robotnik budowlany w Wiśle na Śląsku Cieszyńskim, dużo miał czasu na wspominki. O pracę było trudno, zbierał więc stary Cieślak siedmioro swoich dzieci i opowiadał im wojenne przeżycia, które m.in. zahaczały o Francję.

Słuchał tych wspomnień najstarszy z pięciu synów Jan, który, podobnie jak bracia, był pastuchem, ale wieczory spędzał nad zeszytami i książkami. Wodził palcem po mapie i szukał Francji, w której walczył ojciec.

Śląska pierońska dusza była w Janie, który nie chciał być pastuchem. W 1937 r. powołano go do wojska. Uczył się w wojsku na kursach i marzył mu się daleki świat. Marzenia te miały się wkrótce spełnić, ale w jakich warunkach...

WRZESIEŃ 1939 r. Wraz z pułkiem artylerii lekkiej 65 dywizji, broni Jan Cieślak rodzinnego Śląska, cofa się przed hitlerowską nawałą przez Kieleckie, Krakowskie, dochodzi na Lubelszczyznę. Wojnę — zdawało mu się wówczas — skończył w Tomaszowie Lubelskim. W niewoli przebywał krótko. Uciekł z niej i wrócił na Ziemię Cieszyńską, w ukochany Beskid, gdzie spotkał się z kolegami ze szkoły, klubu narciarskiego (był doskonałym narciarzem) i z wojska. Nie było jednak co wtedy w Wiśle robić. Niemcy deptali ludziom po piętach, łapali Polaków i wywozili na roboty do Rzeszy lub do obozów koncentracyjnych. Postanowił więc przedostać się do Francji do armii Sikorskiego. „Przećić ojciec też walczył we Francji”.

„W styczniu 1940 r. wraz z trzema kolegami ruszyliśmy na nartach przez ówczesną granicę



Podczas pracy w Szwajcarii

śłowacką — opowiada — i sunęliśmy na południe. Ale wpaśliśmy. Słowacy odstawili nas do granicy. Niemcy zbili, ale zwolnili. Próbowaliśmy ponownie. Tym razem w sześciu. Oczywiście na nartach i inną drogą. W Krynicy rozdzieliliśmy się na dwie grupy. Moja przekroczyła granicę w Tyliczu i zaczęła się nowa wojenna przygoda. Droga nasza wiodła przez Koszyce, Bu-

okupowanej Polski, by teraz siedzieć w niemieckiej niewoli. Ucieka więc do Szwajcarii, gdzie spędza cztery lata. Nie je szwajcarskiego chleba za darmo: buduje drogi i pracuje w gospodarstwie, a w wolnych od pracy chwilach uczy się i poznaje Alpy, jakże inne od rodzinnych Beskidów. Zdaje maturę. W 1944 r. wraca do wolnej Francji. Stąd zostaje wysłany do Anglii, w Haddington kończy szkołę podchorążych i znów wraca do Francji jako członek korpusu przysposobienia.

Różnie więc układał się życiorys Jana Cieślaka: nie wyszły mu plany studiowania elektrotechniki w Grenoble, pracował na fermie, ożenił się z warszawianką, deportowaną przez Niemców na roboty przymusowe, dochował się dzieci. Uczy się jednak dalej: kończy kurs tokarski, następnie farbiarski i obecnie — ten wielokrotny uciekinier, człowiek, który przekroczył w czasie wojny wiele granic, pracuje jako farbiarz w Troyes. Ma sześcioro dzieci i wciąż się uczy, a przy tym znajduje jeszcze czas na pracę społeczną w Towarzystwie Pomocy Oświatowej w Troyes (Aube), w którym jest skarbnikiem. Zona p. Jana jest pielęgniarką.



Po kampanii francuskiej — żołnierze polscy, którzy nie ulegli Niemcom, a przedostali się do Szwajcarii. Piąty od lewej Jan Cieślak

dapeszt, Zagrzeb, Split do Marsylii. Stąd odesłano mnie do ośrodka zapasowego II dywizji”.

We Francji skierowano pana Cieślaka do Cötquidan. W kwietniu 1940 r. otrzymał przydział do 1 pułku artylerii lekkiej. Walczył w Lotaryngii i Wogezach. Krótko, bo krótko trwała kampania francuska. W Saint-Dié dostał się do niewoli. Ale nie po to uciekał Jan Cieślak z

Śląski pieron, wysłużony żołnierz artylerzysty, narciarz, po latach wojennej tułaczki wrósł w Troyes, w miejscowe środowisko emigracyjne, zyskał w nim nowych przyjaciół. Ma też przyjaciół wśród Francuzów. I nieraz, podobnie jak kiedyś jego ojciec w beskidzkiej Wiśle, opowiada swym pociechom wojenne przygody na ziemi polskiej i francuskiej. (Or)

Z rodziną w Troyes w 1966



Już w pierwszych miesiącach okupacji hitlerowskiej Kraju podjęte zostają akcje podziemnego ruchu oporu. Grupy działaczy lewicowych przystępują do organizowania walki z wrogiem i formowania oddziałów partyzanckich. Działalność ta rozszerza się z chwilą powstania Polskiej Partii Robotniczej. Oddziały zbrojne podejmują szereg śmiałych akcji. Rośnie siła i liczebność armii podziemnej. Skoncentrowane siły ruchu partyzanckiego na Lubelszczyźnie podejmują na przełomie lat 1943 i 1944 regularną wojnę partyzancką. Oddziały Armii Ludowej, osłabiając hitlerowskie zaplecze frontu wschodniego, prowadzą akcje odwetowe za terror i zbrodnie okupanta. W walce ze zniemawidzonym wrogiem rodzi się jednoznaczny czynny zbrojny różnorodny ugrupowań ruchu oporu. Partyzanci podejmują coraz śmielsze operacje bojowe. Glinie wielu żołnierzy ruchu oporu. W walce o wolność oddają życie całe rodziny. Walka zbrojna potęguje się. W roku 1944 powstaje prawdziwy front partyzancki na terenach wschodniej Polski. Polscy partyzanci współdziałają tu skutecznie z radzieckimi partyzantami. Potężny ośrodek ruchu partyzanckiego powstaje na Kielecczyźnie.

Z nadejściem zimy ruch partyzancki na Kielecczyźnie zmienił swój charakter, przystosował się niejako do trudnych warunków atmosferycznych. Gdy w lecie na plan pierwszy wysuwała się zdecydowanie walka oddziałów leśnych, teraz ciężar działania przesunął się do garnizonów AL. Zasadnicze nasze oddziały przeszły linię frontu 28 października, pozostałe musiały się rozdrobnić, by w oparciu o garnizony przetrwać najcięższy okres.

Front był już blisko, sąsiedował z Kielecczyzną, a w miejscach rozbudowanych nadwiślańskich przyczółków przebiegał już przez tereny województwa kieleckiego. Oczekiwaliśmy nowego, potężnego uderzenia, wiedząc, że tym razem pójdzie daleko na zachód. Nie wykluczaliśmy, że będzie ono może i ostatnim uderzeniem, które dobieje hitleryzm. Nie mogliśmy jednak odgadnąć najważniejszego: kiedy to uderzenie nastąpi. Byli wśród nas na ten temat najroźniejsze opinie.

Do Pętkowic przyszlismy ze wsi Skarbka, gdzie kwaterowaliśmy poprzedniej nocy u komendanta rejonu, Władysława Siepietowskiego. W gospodarstwie Szumłaków zebrało się nas czterech: Janek Chełchowski, Marian Janic, Józef Jarosz i ja. Choć zbliżała się noworoczna noc, mało zwracaliśmy na nią uwagi, zaprzatnieliśmy nawałem bieżących spraw. W dodatku wiadomości, które nadchodziły z terenu, nic nam dobrego nie wróżyły. Hitlerowskie żołądactwo, z dnia na dzień coraz bardziej ogarnięte strachem, stawało się jednocześnie coraz bardziej agresywne i niebezpieczne.

Każda nasza kwatery wymagała pewnego zabezpieczenia na wypadek niespodziewanego najeścia hitlerowców. Podobnie jak gdzie indziej, również w domu Szumłaków zabezpieczenie takie stanowił tak zwany bunkier, będący przemyślnie urządzonej kryjówką. Bunkier Szumłaków wyróżniał się nawet swą oryginalną budową, co zwiększało znakomicie bezpieczeństwo znajdujących się w nim osób. Aby dotrzeć do niego, wchodziło się do stojącej na podwórzu szopy, gdzie w klepisku, pod kurnikiem, znajdował się otwór osłonięty pokrywą. Kłapa ta, choć zamaskowana, mogła zwrócić uwagę penetrujących szopę, lecz, gdyby nawet ci ją odkryli, czekało ich rozczarowanie, bowiem pod kłapą znajdowało się ciasne pomieszczenie o ścianach z desek, wyglądające na skrytkę. Znajdowała się tam istna rupieciarnia, i nikt chyba nie domyśliłby się, że skrytka jest czymś w rodzaju „przedpokoju” do bunkra. Jedną z jej ścian odsuwała się i wchodziło się wówczas do podziemnego tunelu. Tunel ten na końcu również był zabezpieczony ruchomą ścianą i dopiero za nią mieścił się właściwy „bunkier”, długi na jakieś trzy i pół metra, z silnym drewnianym stropem, z którego na powierzchnię ziemi wiodł przewód wentylacyjny. W „bunkrze” znajdowały się dwie prycze, skrzynia z bronią i amunicją oraz nawet tak pożyteczne dla pracy konspiracyjnej sprzęty, jak maszyna do pisania i powielacz.

Miejsce to istotnie zapewniało bezpieczeństwo, jeśli nie całkowicie, bo trudno było wykluczyć przypadki, to z pewnością w bardzo wysokim stopniu. Jednak do bunkra udawaliśmy się z konieczności, bowiem jego wada, mimo przewodu wentylacyjnego, był słaby dopływ powietrza. Po spędzonej w nim nocy człowiek czuł się jak oczadziały. Trudno jednak było domagać się od budowniczego, aby zainstalował tam jeszcze pompę powietrzną. I bez tego bunkier braci Szumłaków zasługiwał na najwyższe uznanie.

Zasiedliśmy w mieszkaniu, nie korzystając na razie z bunkra, i wspomniawszy o takim dziwie jak wieczór sylwestrowy, pograżaliśmy się w dyskusji na najbardziej aktualne tematy.

Nadejście nowego, 1945 roku, roku ostatecznego zwycięstwa, zwiastowały nam „katusze”, doskonale już wówczas znane Niemcom. Strach przed siłą ich ognia był ogromny. Odgrywał tu również swą rolę czynnik psychiczny. Gdy Polak w rozmowie z Niemcem wspominał o „katuszy”, rozmowa natychmiast się urywała. Niemiec mimo nagabywania nie chciał nic na ten temat mówić. Niekiedy tylko, gdy miał w czubie, wpadał we wściekłość albo też płakał po prostu z niemocy.

Był późny wieczór, gdy ze wschodu dobiegła nas kanonada. Od czasu gdy front osiągał Wiśle, znałmy ten głos radzieckiej potęgi, tym jednak razem siła ognia była wyjątkowo duża. Być może wielokrotni ją jeszcze w naszych uszach wsłuchaliśmy. Wyszliśmy na podwórze. Huk wzmógł się w mroźnym powietrzu jeszcze bardziej. Od czasu do czasu, jak gdyby rytmicznie, drgała ziemia. Wybuchały jednocześnie całe setki pocisków. Zdawało się, że w ziemi wali jakiś gigantyczny młot. Ta nawała ogniowa sprawiała na nas potężne wrażenie, choć byliśmy od niej dość znacznie oddaleni. Można więc było wyobrazić sobie, co przeżywali wówczas hitlerowcy, gotujący się właśnie do obchodu Nowego Roku.

Staliśmy pod rozgwieżdżonym niebem pełni radości i szczęścia.

Barwy walki

MIECZYŚLAW MOCZAR

— Może już się zaczęło? — zastanawiał się Marian.

— Grzeją porządnie — ocenił artylerzystów Józef Jarosz. — Dawno już powinno się zacząć, kto wie, czy właśnie nie teraz...

— Chyba jednak jeszcze nie — rzucił Janek. — Wisła nie zamarza, woda płynie, a to zawsze przeszkadza. Co innego, gdyby stanęła, i to jeszcze z półmetrowym lodem. Mieliby się fryce z pyszna.

— To też racja, ale jakby nie było, Rosjanie mają na odcinku stu kilometrów trzy przyczółki, więc na lodowym moście nie bardzo im chyba zależy — polemizował ktoś. — Wystarczy im to do rozpojęcia.

— A w dodatku taki Sylwester nadaje się na zaskoczenie świetnie. Niemcy najmniej chyba tego mogli się spodziewać...

Teraz dopiero przypomnieliśmy sobie, że już za niecałą godzinę nadejdzie Nowy Rok, a wraz z nim nowe nadzieje, tym razem już tak bardzo realne.

Dawno już znaleźliśmy się z powrotem w izbie, a kanonada trwała nadal. Wróciliśmy oczywiście do dyskusji o ofensywie, bo trudno było o czym innym mówić w tę jedyną, niezapomnianą, sylwestrową noc. Orkiestra „katiusz” dawała świetny, choć może zbyt jednostajny, podkład muzyczny pod nasze wywody.

— Dochodzi dwunasta — oznajmił w pewnej chwili gospodarz, Jan Szumlak.

Spojrzeliśmy na zegarki. Jak zwykle, każdy z nich wykazywał pewne odchylenia od rzeczywistego czasu, były one jednak tym razem drobne. Do przełomu dwóch lat brakowały już tylko sekundy. Wstaliśmy z miejsc, aby złożyć sobie wzajemne życzenia, gdy w tym momencie kanonada ucichła, jakby nożem uciął.

Uśmiechnęliśmy się do siebie.

— To chyba teraz jest punktualnie dwunasta — odezwał się Janek. — Za chwilę zaczyna pewnie na nowo. Oczywiście, jeżeli to ma być coś więcej aniżeli powitanie Nowego Roku.

W nasze uszy, już przywykłe do głośnego dudnienia, wdarła się teraz niezwykła wprost cisza.

Tak więc godzinny co najmniej ogień radzieckiej artylerii okazał się rzeczywistym swoistym noworocznym podarkiem dla hitlerowców, zapowiadając jednocześnie tego, co miało już rychło nastąpić.

Od tej pory front był spokojny. Dopiero 12 stycznia spokój ten przerwały miliony pocisków, padających na hitlerowskie stanowiska.

We wrześniu 1939 roku nad Polskę nadeszła burza. Teraz burza ta osiągała swój kulminacyjny punkt, właśnie nad Wisłą. Hitlerowska przemoc, pędzona setki kilometrów przez żołnierza radzieckiego i jego serdecznego przyjaciela znad Wisły, musiała regulować ostatecznie historyczny rachunek.

Styczniowe dni były pogodne, lecz słyszeliśmy o tym tylko od naszych gospodarzy, bowiem czas spędzaliśmy w bunkrze Szumlaków, znów wspólnie z „Długim Jankiem”, Marianem Janicem i „Wickiem” Jaroszem. Świeżym powietrzem cieszyliśmy się tylko nocą, podziwiając, jak potrafi być aromatyczne po ciężkim zaduchu bunkra. Sytuacja nie pozwalała jednak na swobodę. Koncentracja Niemców na terenach przyfrontowych wzrosła ogromnie, niespodziewane obławy były na porządku dziennym. Hitlerowcom chodziło głównie o siłę roboczą do budowy umocnień nad Wisłą, łapanki stały się więc nagminne. Pewnego razu Marian Janic, który zapuścił się dość daleko w celu zasięgnięcia języka — chodziło głównie o zbadanie nastrojów w oddziałach węgierskich i włoskich — dostał się do wsi, w której właśnie wszystkich mężczyzn zabierano do robót przy budowie umocnień. Gdy dowiedzieliśmy się o tym, odczuliśmy zrozumiałą niepokoj, ale już za kilka godzin otrzymaliśmy wiadomość, że Marian wraca wieczorem i że ma interesujące spostrzeżenia.

12 stycznia, gdy ofensywa radziecka na przyczółku sandomierskim już się rozpoczęła, nie wiedzieliśmy jeszcze o tym. Czuliśmy jednak, że coś „wisi w powietrzu”, bowiem poinformowano nas, że na południu jednostki niemieckie rozpoczęły jakieś ruchy. Jednakże już następnego dnia, wczesnym rankiem, otrzymaliśmy wiadomość o gwałtownym wycofaniu się Niemców. Na południu, w okolicach Sandomierza, front musiał ruszyć.

Było to jeszcze tylko przewidywanie, nie mieliśmy stuprocentowych danych o ofensywie, a w szczególności o kierunkach głównych uderzeń radzieckich. Tak czy inaczej, należało się przygotować na wkroczenie wyzwolonych wojsk, które, jak się później przekonał, w tym czasie łamały przyfrontowe pasy umocnień. Wydaliśmy w związku z tym odpowiednie rozkazy do naszych jednostek. Jeden z nich mówił między innymi:

...Gdy tylko pokażą się czołowe oddziały Wojska Polskiego zza Wisły lub oddziały Armii

Czerwonej — dowódcy baonów i kompanii powinni natychmiast wejść w kontakt z dowódcami czołówek, udzielić im szczegółowych informacji na podstawie danych, jakie będą w ich posiadaniu, i przydzielić czołówkom z utworzonych sekcji przewodników, którzy mogliby niepostrzeżenie przeprowadzić oddziały bocznymi drogami i lasami na tyły wroga w żądanym przez czołówki kierunku...

16 stycznia wyjechaliśmy z Pętkowic do Tarłowa, gdzie — jak nam zameldowano — wkroczyły pierwsze oddziały radzieckie. Spieszyliśmy co sił na to spotkanie, nie dowierzając sobie samym, że tak upragniona chwila wreszcie nadeszła. Niemców nie ujrzeliśmy ani na lekarstwo. Ludzie, spotykani po drodze i o nich zapytywani, machali tylko lekceważąco rękami.

W oczach ich malowała się radość z odzyskanej wolności.

Dostaliśmy się nareszcie do Tarłowa, gdzie myślni byliśmy już co najmniej od godziny. Gdy ujrzeliśmy pierwsze radzieckie mundury, radość ścisnęła nam gardła.

Chwila niepowtarzalna. Chwila i całe wielkie przeżycie.

W osiedlu panował jakiś odświętny nastrój. Niemal co krok spotykało się widoki, których nie sposób zapomnieć. Oto jakaś starszuszka kłękała na ziemi, objęła nogi radzieckiego żołnierza i trzymała je bez słowa. Jej niema podzięką za przyznaną wolność była tak wymowna i tak przy tym wzruszająca, że przechodnie zagryzali wargi i ocierali łzy. Nieco dalej mały chłopiec rzucił się na szyję jakiegoś zdrożonemu piechurowi, z trudem wydobywając z siebie jedno tylko słowo: „Bracie...” Temu chłopcu hitlerowcy zabili na jego oczach ojca. Ludzie wychodzili z potwornych nor, gdzie chronili się przez długie dni przed rozjusznymi hitlerowskimi bestiami. Widać było, jak ich oczy z trudem znoszące nawet anemiczny blask zimowego słońca rozglądają się bacznie za żołnierskim mundurem, aby wyrzec choćby jedno słowo podziękowania.

Dalej inna znów scena. Nadchodzi drogą radziecki żołnierz, młody, mizerny chłopczek, wyglądający najwyżej na czternaście lat, w ogromnych jak na niego buciorach i sięgającym kostek płaszczu. Na ramieniu karabin, większy od jego właściciela. Typowy „syn pułku”, zapewne sierota, przygarbięty przez żołnierza gdzieś podczas ich wojennej wędrówki.

Chłopiec przystaje, zatrzymuje jakiegoś mężczyznę i zapytuje:

— Diadzia, a do Berlina daleko?

Każdy, kto przeżywał okupację i tęsknił za wyzwoleniem, kreślił z pewnością w myślach obraz pierwszego dnia wolności taki, jaki uznawał za najpiękniejszy. Namalowałem i ja dzień wyzwolenia w marzeniach. Przypaść muszę, że to, co ujrzałem w małym, zabiedzonym osiedlu, dorównywało memu wysnionemu obrazowi. Nie było to jakieś subiektywne tylko odczucie, widziałem bowiem twarze innych ludzi, w których wówczas można było czytać wszystko.

Spotkaliśmy się z dowódcą radzieckiej dywizji, pułkownikiem, którego nazwiska już nie pamiętam. Po wzajemnym przedstawieniu się i serdecznym powitaniu zaproponowaliśmy mu oddanie do jego dyspozycji oddziału specjalnego, który by mógł poprowadzić jednostkę w każdym najdogodniejszym dla niej kierunku.

Pułkownik podziękował z uśmiechem. Poprosiwszy nas do stołu, rozłożył mapę, poznaconą strzałkami i strzałkami.

— Nasze wojska są już za Kielcami — oznajmił.

Nie mogliśmy ukryć zdumienia. Takiego tempa natarcia nie spodziewaliśmy się. Gdy wyznaliśmy to pułkownikowi, ten uznał za stosowne zorientować nas w aktualnej sytuacji. Okazało się, że większe oddziały radzieckie, po zdruzgotaniu frontowych linii niemieckich, wysunęły się daleko naprzód, znacznie dalej, niż przypuszczaliśmy.

— Co z Warszawą? Co z Łodzią? — zapytywaliśmy pułkownika w podnieceniu.

— Paka nie znaju, no ja dumaju, szto uże nie-dołgo. Możet byt' zawtra, ili poslezawtra... Kak my uże paszli, to piered nami tolko Berlin.

Trudno było uwierzyć: jutro, pojutrze... To była muzyka, a nie zmęczony głos radzieckiego oficera. Spotkanie nasze miało niezwykle serdeczny przebieg, bo też było spotkaniem niezwykłym: po wielu długich miesiącach oczekiwania spoglądali sobie wprost w oczy współtowarzysze w walce z hitleryzmem, żołnierze wojsk regularnych i partyzanci.

Mieliśmy okazję jeszcze tego samego dnia oglądać powitanie oddziałów radzieckich w Pętkowicach, gdzie już urzędowała i rada narodowa, i milicja, zorganizowane przez Janka Chełchowskiego.

Po załatwieniu tu szeregu spraw, związanych głównie z tworzeniem terenowej władzy ludowej, wyruszyliśmy dnia następnego do wyzwolonego Ostrowca, gdzie rada narodowa urzędowała już również. Spotkaliśmy tu wielu współtowarzyszów walki, wśród nich „Bystrego” — Mariana Stanika, „Zapora” — Władysława Kowalskiego, „Zygmunta” — Henryka Połowniaka, „Brzozę” — Czesława Boreckiego, Władysława Siewietowskiego i wielu innych działaczy partyzanckich.

Swobodne poruszanie się po mieście, wzajemne spotkania i odwiedziny bez żadnych ograniczeń, polskie mundury noszone na ulicy, robotnicza milicja z opaskami — wszystko to wydawało się nam jeszcze jak gdyby nierealne. Myśli nie nadążały za przemianami. Gdy one żyły jeszcze dniem wczorajszym, myśmy już osiągnęli nowy poranek. Trudno było się przestawić; świadczyły o tym nawet pewne odruchy, echo przyzwyczajenia ludzi podziemnego frontu.

Po załatwieniu najpilniejszych spraw organizacyjnych wyruszyliśmy z Chełchowskim, Janicem, Połowniakami i kilkoma innymi towarzyszami do Lublina dla nawiązania kontaktu z przebywającym tam kierownictwem centralnym Partii. Aby jednak tam się dostać, trzeba było uzyskać swego rodzaju przepustki, które obowiązywały każdego, a które wystawić mógł odpowiedni urząd państwowy. Okazało się, że w naszym przypadku kompetentne jest starostwo w Opatowie. Udaliśmy się więc tam i poczęliśmy szukać budynku starostwa. Cóż to były za czasy! W całym budynku ocalał tylko jeden pokój, w tym pokoju zaś urzędował tylko jeden człowiek: sam starosta opatowski. Można sobie wyobrazić, co się tam działo. Przypaść jednak muszę, że w każdym razie nie było żadnych zbędnych biurokratycznych formalności. Interesant załatwiony był „od ręki”, z szybkością nadzwyczajną. Również i my otrzymaliśmy nasze „delegacje” bez trudu i natychmiast ruszyliśmy przez Sandomierz i Rozwadów do Lublina. Część drogi odbywaliśmy samochodami, część po ciągniku. Tereny zawiślańskie i tak dobrze mi znane Lubelszczyzna przedstawiały już inny widok niż obszary nowo wyzwolone. Przede wszystkim znać było wyraźnie miesiące zagospodarowania, choć nie minęło ich wiele.

Przed naszymi oczami poczęł przebiegać jak gdyby kolorowy film, pełen nowych zupełnie scen dla nas, ludzi chodzących dotąd własnymi, innymi drogami.

Pociągami jechaliśmy oczywiście bez biletów, choć kasy biletowe na stacjach Lubelszczyzny już funkcjonowały. Obsługa pociągów tolerowała nas, co uważaliśmy za zupełnie naturalne, jednakże na dworcu w Lublinie spotkała nas niespodzianka: przy wyjściu zażądano biletów. Gdy zaprotestowaliśmy, natychmiast włączyła się do akcji straż kolejowa. Incydent ten miał o tyle dobrą stronę, iż dzięki niemu właśnie kierownictwo nasze dowiedziało się, że delegacja z Obwodu Kieleckiego znalazła się w Lublinie.

Ruszyliśmy w końcu ulicami Lublina do siedziby Komitetu Centralnego. Serca biły silnie na samą myśl, że spotkać mamy najbliższych towarzyszy w innych zupełnie niż dotąd warunkach, już w Ludowej Polsce, o której sniliśmy latami.

Po drodze setki przechodniów. Wielu z nich spoglądało na nas z żywą ciekawością. W kożuchach, z kijami w rękę, wyglądaliśmy zapewne dziwnie na tle ustabilizowanego już życia ówczesnej stolicy.

Największe jednak zainteresowanie wśród przechodniów wzbudzał Janek Chełchowski, ubrany w długi kożuch, z sękatym kijem w rękę i dość zawadiacką miną.

Milicjant strzegący budynku KC wyszedł nam na spotkanie i zapytał ostrym nieco tonem o przepustkę.

W Janka wstąpił duch przekory.

— Jaką przepustkę? — zdziwił się.

— A skądże to przysłacie, chłopie, że nie wiecie o przepustce? — odrzekł milicjant.

Janek, uznany w ten sposób za chłopca, odwrócił się do nas i zawołał:

— Patrzcie no, co te komunisty wymyśliły, przepustki jakieś!

Milicjant, młody, dziarski chłopak, niedawny jeszcze partyzant, nie poznał się widać na żarcie i w mig zawołał kolegów.

— Jemu się komuniści nie podobają — oświadczył przybyłym.

— Któremu?

— Chyba wszystkim, ale temu najbardziej — tu wskazał palcem na Janka.

Ogarnęła nas wesołość, choć szorstkie początkowo zachowanie milicjanta niezbyt nam się podobało. Przybyły komendant budynku szybko wyjaśnił sprawę. Janek nie omieszkał oczywiście przy tej sposobności wygłosić do milicjantów kilku słów, by wyrazić w nich swe niezadowolenie.

Mieliśmy ochotę żartować, jak nigdy dotąd. Na twarzach ludzkich zagościł na trwałe odnaleziony uśmiech.

Weszliśmy do budynku KC i niezadługo znaleźliśmy się wraz z Jankiem Chełchowskim w pokoju generalnego sekretarza Partii.

Zdaliśmy wspólnie tow. „Wiesławowi” relację z naszego pobytu za frontem, z rozwoju działalności PPR i AL, z przebiegu całej walki o wyzwolenie, prowadzonej na Kielecczyźnie.

Tow. „Wiesław” słuchał nas uważnie. Gdy skończyliśmy, powiedział:

— Mieliście trudne dni. Wiedzieliśmy o tym. Ale to już za wami. Przed wami teraz porządny kawał roboty.

KONIEC

pestka

ANKA KOWALSKA

Pani Luczynko, powiedziałam, czułam niesmak i współczucie, fotografie z domkiem campingowym pan X wciskał w rękę Józefowi, Józef niechętnie, z ociąganiem widocznym w plecach, w ramieniu, wziął ją na chwilę w dwa palce. — Chciałby rozwodu, bydlę. — Siność zjechała jej na wieczorowy dekolot, odwróciłam oczy, ale ja mu dam rozwód, nigdy go nie dostanie, ta dziwka nigdy nie będzie go miała nigdy Tadzio ma mieć ojca pójdę do partii, zobaczy pani, pójdę do partii, oni mu każą zostać. Rozszlochała się, słowa wychodziły z niej rozmazane, świszczące, zaprowadziłam ją do łazienki — to były imieniny Józefa — umyła twarz. Siedząc na brzegu wanny, z jednym policzkiem jeszcze sinym, drugim już morelowym od różu i pudru, zamiosła się trumfalnym chichotem: — Gdyby on wiedział, że ja też! Ze też nie jestem sama! Ale wtedy musiałabym się zgodzić, pani Sabinko, pani to zatrzyma dla siebie... Pani rozumie: przecież my od trzech lat nie żyjemy już z sobą. Trzeba kogoś mieć, Boże mój, Boże mój, pani Sabinko, pani to rozumie...

Małżeństwo Y. On się przeniósł do niej z olbrzymiego mieszkania pierwszej bogatej żony, uroczy zakochany poeta dużej sławy: czy ja mam wyjść za niego? Czy ja mam wyjść? — zapytywała wszystkich dumna i syta chwały, zdecydowana już dawno, kokieterijna. Spędził z nią kilka dni rok przedtem, wyjechał na stypendium do Francji, zaczął pisać listy, wrócił do Polski dla niej. Erotyki, poematy miłosne, która się oprze? Rozwiódł się, został z nią, wzięli ślub. Już zanim przyszło na świat dziecko, był zmordowany. Warunkami, kawalerką, niedostatkiem wygód. Zaczęły się niesnaski, irytacje, głuchy mur zaczął się pięć między nich, już do siebie mówili przez ten mur, już do siebie przez ten mur milczeli. Kiedy dostali — po trzech, czterech latach — dwupokojowe mieszkanie, kiedy cieszyli się nieprzrytomnie z przeprowadzki, przysłała im się już tylko po to, aby jedno mogło się w pokoju przed drugim zamknąć na klucz. Rozdział finansów. Na dziecko tyle i tyle. Roman zresztą bardzo kocha dziecko. Tak bardzo, że chciałby je wywieźć do Wrocławia, do siebie, oddać swojej matce. Zosia nie chce, Zosia też kocha dziecko. Ona sama jest bardzo dzielna, uśmiechnięta. Jego widuje się w warszawskich kawiarniach z przystojnymi adeptkami literatury.

Dość? O nie, myślałam o tym wszystkim zbyt długo, całe lata. Mam tych przykładów wiele. Przykładów na co?

97

Twoje małżeństwo. Ono się wydaje normalne. Czy nie wydaje ci się normalne także moje małżeństwo? Kto z obserwujących, ktoś ma widowni ośmieli się powiedzieć złe słowo o tobie i twojej żonie? O Józefie i o mnie? Nie bój się, ja widzę takich samych normalnych małżeństw, jak nasze, dość na to, aby przestać ufać ich popisowej poprawności, pokazywaniu się razem w teatrze, kinie, odbywaniu wspólnych wizyt, objawianiu gościom w domu masek pogodnych gospodarzy. Jest nawet tak, że gdy dostrzegam dramat, gwałtowne spięcie, krzyk, łzy, zachowuję trochę nadziei: dłaczegoś wierzę, że przez ujawnienie tragedii można ją zakończyć wcale nie tragicznie, wcale nie tak, jak tego chciał Sofokles. Coś może się przepalić, jakieś słowo, jakaś objawiona rozpacz, widok popiołu w dawniej żywym lesie może wywołać wstyd, najlepszą z tęsknot: tęsknotę do naprawienia zła.

Kiedy widzę coś tak obrzydliwie normalnego, coś tak bezbarwne i bez krzyku, bez protestu dogasającego jak twoje, moje, tyśiące innych małżeństw — sama chcę wyc.

Ty się dziwisz. Można też nazwać zdumieniem to, co czułam, kiedy stało mi się wiadome, że właśnie tak to widzę, że tak myślę. Nie byłam do tego stworzona. Nie byłam do tego stworzona. Nie byłam do tego stworzona. To jakby człowiek bardzo wysoki musiał nagle zamieszkać pod dachem sięgającym mu do ramion. Ciężko. Ale może tak właśnie ma być: może nie ma znaku równości między tym, do czego zostałeś stworzony, a tym, do czego stworzono cię według twego zdania. Może tu jest klucz do człowieka — w tym, że on nie wie. Najpierw nie wie, bo jest młody i głupi, kształtują go inni, kształtuje go przypadek, rośnie wzdłuż i w szerz albo nie rośnie — jak mu się zdarzy. Potem, gdy podejrzewa, że może nie tak miało z nim być, że nie do tego, nie do tego — nie tak — wtedy najczęściej nie jest już młody, wiesz. A ponieważ nie jest już również tak głupi jak wtedy, kiedy rósł według swego zdania i w kierunkach wskazanych mu przez zawiedzionych, zaskoczonych, podobnie jak on sam zawiedzie się kiedyś — ponieważ tak głupi już nie jest — niełatwo mu to znieść. Borys, odgadnąć, do czego jest się stworzonym...

45

A więc trzy lata temu zobaczyłam, że znów jej zazdrozczę. Jak kiedyś, kiedy byłam sama, źle ubrana, brzydka i nieśmiała, a ona jak koliber i wśród tych wszystkich męskich pościgów; kiedy jej życie było przede mną naprawdę otwarte, i było lekkie jak piana; kiedy martwiłam się tylko jej przyszłością, nie o jej teraźniejszość, bo ta za wiele budziła we mnie zazdrości i także podziwu. Można było naprawdę podziwiać radosny i pełen wdzięku egocentryzm, z jakim żyła: prawdziwy skarabeusz na pierśsiach świata.

Kiedy zaczęła żyć z tobą i dla ciebie — to znaczy, kiedy się o tym dowiedziałam — przestała być skarabeuszem; kolibrem mogła już być tylko dla innych, nie dla mnie, zbyt dobrze było mi wiadome, w czym grzęźnie, do jakiej samotności odwraca twarz, kiedy zamiera na niej pożegnalny uśmiech przestany ostatniemu człowiekowi, który na nią tego dnia patrzy. Widziałam

98

już, jak płacze, widywałam jej oczy suche i zropaczone; i powściągnięte z wielkim trudem drżenie ramion i warg; i ostre napięcie w tej twarzy drobnej i wydanej na łup strachu, namiętności i walk żyjących pod szczelnymi kośćmi tego czoła, unoszonego z wysiłkiem na spotkanie każdego dnia.

Wyszedł tego dnia z domu, zostawiłam przy Marku moją matkę, wyszedł z domu, była jesień tak delikatna jeszcze i tak jeszcze promienna, że tylko jej oddechem, jej czułym blaskiem zwielokrotnionym przez każde osobno, i inaczej, na własny sposób jesiennejące drzewo, jej łagodnością i ściszeniem, mogłam — zdawało mi się — odpędzić pełen upokorzenia strach. Głowa mnie boli, powiedziałam matce, i ofiarowała się, że zostanie z dzieckiem, patrzyłam na Marka, chłopczyk rżał radośnie stawiając klocek na klocek i chyttrze natychmiast potrącając go jedwabistym końcem paluszka, układając i strącając, niezmaczenie szczęśliwy, strasznie kochany, patrzyłam i kula urosła mi w gardle, głowa mnie boli, powiedziałam matce, to idź się przejść, zobacz, jak ładnie, ja zostanę — powiedziała matka, Józef powiniem być wrócić z Katowic dopiero późną nocą, jeszcze kilka godzin upłynie, zanim mu to powiem, a może dopiero jutro, lepiej jutro, przestraszyłam się po raz setny, sto pięćdziesiąty, włożyłam płaszcz, wyszłam na tę jesień.

Ale gdzie miałam iść, żeby choć trochę nie myśleć, żeby przestać pamiętać o sobie i o tej chwili, kiedy będę musiała powiedzieć Józefowi; i pojechałam do Agaty, teraz można ją było prawie zawsze zastać w domu, i wiedziałam już, zostałam dopuszczona do tajemnicy, wiedziałam, że ten dzień tygodnia nie jest na pewno dniem, w którym mogłeś być z nią, a zmierzch, jeszcze na pół słoneczny, złagodniały przez mgłę października, puszysty był i smutny od szelestu liści pod nogami. I pojechałam do Agaty.

Otworzyła mi z niechętną twarzą, rozjaśniła się cała; kiedyż to byłam u niej ostatni raz? Zdziwiła się tak radośnie, że przyszedłam: wyrzutem było dla mnie to zdziwienie i radość, ale wyrzutu w słowach nie zawarła żadnego; chodźże — wykrzyknęła — chodź, czego chcesz, kawy, herbaty? Wpędziła mnie do pokoju i pobiegła do kuchni, a ja stanęłam i patrzyłam na prywatne życie Agaty emanujące z tego pokoju, w który nie kładła nic ze swej kobiecości.

Pracowała; cały stół zarzucony był kartami papieru, zmietymi papierowymi kulami. Te ściśnięte w kule kartki leżały też na podłodze, termos do kawy stał na jednym wolnym miejscu, stoik z miodem na drugim; książki wszędzie — na tapczanie i na krzesłach, popielniczki pełne niedopałków; ścisłym tonem gadało radio. Powiedziałam, że pewnie jej przeskadzam.

— Ach, Sabina — zawołała z kuchenki — co ty mówisz! Już nie widzę przed sobą liter, przecież ja czytam pół dnia w redakcji i pół w domu też, jeśli nie piszę. A teraz piszę już dobre parę godzin. Jesteś wspaniałą wymówką przed napadem tej pracowitości. Jak Marek?

— To chodź — poprosiłam. — Chodź na spacer.

Wyszła z kuchni i przyjrzała mi się.

99

— Wyłączę gaz — powiedziała.

Zaprowadziła mnie małą uliczką wśród przedwojennych i nowych willi do bielańskiego lasku; wchodziło się tam od strony jordanowskiego ogródka, zza parkanu dolatywał świateł dziecińczych głosów. Całą gromadą zbierano kasztany, ciemnowłose i jasne Marki uganiały się z chrupkim odgłosem po opadłych liściach; i zanim weszliśmy do otwartego, nie ogrodzonego od tej strony lasu, który zaczynał się bez żadnego przejścia i żadnego wstępu od razu świetlicie i rudo, zanim oddaliśmy się od tamtej radośnie zabawy z kasztanami, powiedziałam łamiącym się głosem, że znowu jestem w ciąży.

Wydała z siebie jakiś krótki okrzyk czy może westchnienie, jej dłoń wpełzała mi pieszczotliwie pod ramię, oparłam się na niej, ale twarz odwróciłam od jej twarzy przez jedną chwilę jakos wsłuchanej w siebie, w głąb, pełną niezrozumiałego smutku, jakby wiedziała, dłaczego łamie mi się głos; a przecież nie wiedziała; i zaraz zaczęła się uśmiechać serdecznie, z tkliwością i od tego uśmiechu odwróciłam twarz.

Ale zatrzymała się i w tym półmroku ognistym i chłodnym sięgnęła obu dłońmi po moją głowę, ciepłe usta zbliżyła mi do policzka i natychmiast stanęła przede mną żądając prawdy.

— Dłaczego płaczesz, Sabina?

Z tym przecież przyszłam do niej, ale nie mogłam jej powiedzieć.

— Sabina!?

Pląkałam i zaczęłam dygotać. Wiewiórka zeskoczyła z drzewa wprost pod nasze nogi, przerażona wpadła na pień obok, chrzęściła pozurkami po korze, zniknęła. Powiedziałam:

— Boję się Józefa.

— Sabina, przecież on nie... On bardzo kocha Marka... Trochę kłopotu, Sabina, ja wiem, Józef jest taki wygodny, ale, Sabina, słuchaj... Jak to? — Bezdłownie i szybko mówiła to, a potem coraz wolniej, patrzyłyśmy na siebie, patrzyła na mnie, drobny grymas bólu wykrzywił jej usta, spędziła go i spytała bezradnie, z nadzieją:

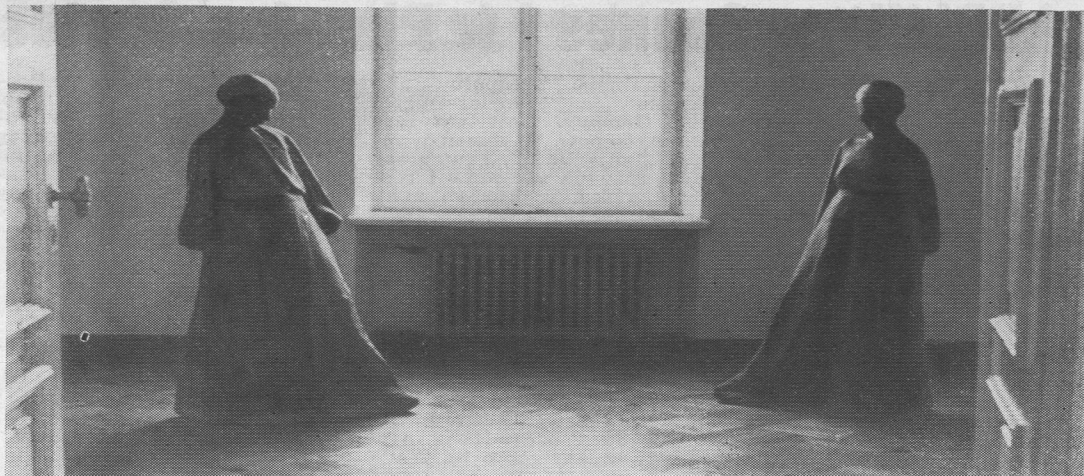
— Myślisz, że nie będzie się bardzo cieszył? To dlatego?

— Ja już o Marka musiałam go prosić — powiedziałam, złapałam ją za rękę, suchy liść spłynął między nasze twarze.

46

Siedziałyśmy pod niskimi gałęziami, wąska ławka bez oparcia, tuż przed niskim młodnikiem; rosły tutaj małe jasnolistne dąbki, rzadki krzaczasty świerków wzrostu wysokiej trawy ciemniały pod przeredzonym ząbkowanym złotem dębowych liści. Niektóre z tych liści uwięzły w gałęziach świerków i te świerki, małe jak krzaki, wyglądały, zwłaszcza z daleka, jak krzaki nieznanych kwiatów. Czasem jakiś liść, drżący na wietrze, słoneczna plama, odrywał się z wysiłkiem i spływał niżej, przestawał być widoczny; było to, jak gdyby uwiął kwiat.

100



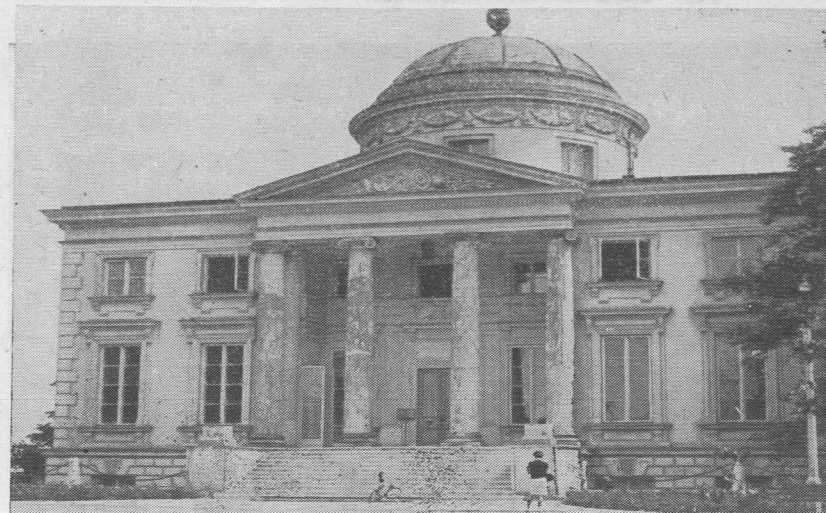
„La Lapinerie” (en haut à droite) attire de nouveau les visiteurs, surtout les amateurs de sculpture. Ils s'arrêtent avec émotion dans l'atelier reconstitué du grand artiste (ci-dessous), admirent ses oeuvres dont les magistrales „Femmes enceintes” (ci-dessus) et les célèbres „Têtes” du Wawel (en bas de l'article)



Le Musée Xawery Dunikowski

Notre revue a maintes fois parlé du célèbre sculpteur polonais Xawery Dunikowski, mort l'an dernier. Récemment nous avons rapporté le don précieux de plusieurs oeuvres de Dunikowski, offertes à la Pologne par le grand coiffeur Antoine.

Varsovie a maintenant un Musée Xawery Dunikowski. Rue Puławska, dans le quartier de Mokotów, des ruines attendaient un meilleur sort. C'était la „Królikarnia” (Lapinerie), ainsi appelée parce que jadis on élevait ici des lapins de garenne pour les chasses royales. Le roi Stanislas Auguste y avait fait construire à la fin du XVIII^e siècle un très beau palais néo-classique, ce dont s'acquitta l'architecte Merlini auquel on doit plusieurs



autres des plus beaux monuments de la capitale.

Pendant l'occupation, la Królikarnia partage le sort de Varsovie et du quartier. Il fallut attendre 1963 pour que

Wrocław aura aussi son unité d'habitation

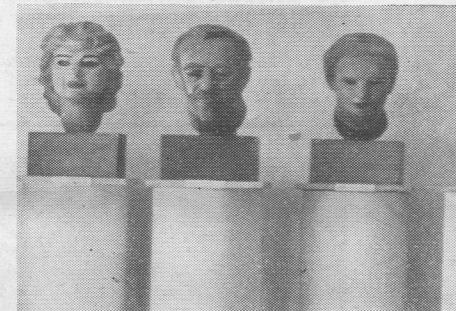
Suivant l'exemple de Katowice, une des coopératives du logement de Wrocław, capitale de la Basse-Silésie, a mis en chantier un „super-immeuble”.

Le nouveau bâtiment, dont quatre niveaux se dressent déjà, aura onze étages et s'étendra sur 225 mètres de longueur.

On y trouvera 814 appartements de 2 et trois pièces, munis de tout le confort moderne. Ce sera donc un véritable unité d'habitation, comptant quelque 2500 habitants.

sa reconstruction fut entreprise. Après deux ans de travaux, elle fut terminée l'an dernier. Depuis, le palais rendu à sa première splendeur constitue une filiale du Musée National de Varsovie, entièrement consacrée au grand sculpteur Xawery Dunikowski.

Dans une des salles on a reconstitué fidèlement son atelier, dans les autres sont exposées avec goût ses meilleures oeuvres.



Michel Sendivogius - un précurseur de la chimie polonaise

Michał Sędziwój, mieux connu sous son patronyme latin de Sendivogius, né il y a 400 ans, fut le plus célèbre des alchimistes polonais. Trois ouvrages connus ont été indubitablement écrits de sa main: „De Lapide Philosophorum Tractatus Duodecim” (Douze traités sur la pierre philosophale) publiés pour la première fois en 1604, „Dialogus Mercurii Alchemistae et Naturae” (Dialogue de Mercure l'Alchimiste et de la Nature) édité trois ans plus tard, et „Tractatus de Sulphure” (Traité sur le soufre) dont la première édition date de 1615.

LES AVIS des chercheurs sont partagés quant aux autres oeuvres attribuées à Sendivogius, quoique les anagrammes dont — comme ses pareils — il signait ses oeuvres aient été déchiffrés encore de son vivant.

Les trois ouvrages cités plus haut furent au XVII^e et au XVIII^e siècles traduits en français, tchèque, néerlandais, italien, anglais, allemand et russe. On en connaît de cette époque 80 éditions.

Deux savants polonais, le professeur Włodzimierz Hubicki — tenant de la chaire de chimie non-organique de l'Université de Lublin, et le dr Roman Bugaj, ont récemment publié les résultats des études qu'ils ont consacré à Sendivogius. Ils lui attribuent la paternité d'intéressantes théories.

Sendivogius avait écrit „L'homme est fait de terre, vit de l'air, car l'air recèle l'aliment de la vie”. Cet „aliment de la vie”, Sendivogius l'appelait aussi „l'invisible salpêtre volatil des philosophes”. Sa présence „permet aux plantes et aux animaux de séjourner dans l'air. L'air

est la vie du feu. Sans air, le feu s'éteint...”

Cette substance, dont Sendivogius affirmait la présence dans l'air et dans le salpêtre, qui soutenait la combustion et était indispensable à la vie des plantes et des animaux n'est autre que l'élément appelé aujourd'hui oxygène — constate le prof. Hubicki.

Sendivogius avait bâti sa théorie sur une base empirique, chose que prouve surtout son „Traité du sel” consacré au salpêtre. Il en résulte que l'alchimiste devait connaître des faits chimiques, savoir que le salpêtre fournit cet „air” — baptisé „cibus vitae” ou „Mercurius aeris”. L'ayant constaté parmi ses cornues, Sendivogius avait dû retourner le problème, déduire que le salpêtre résultait d'une combinaison de „l'air” et de „l'onctuosité” de la terre.

On sait aujourd'hui que le salpêtre, ou nitrate de potassium, fond à une température de 336° et, à des températures plus hautes, se décompose en dégageant de l'oxygène.

Ce processus, ainsi qu'il résulte de ses ouvrages, devait être bien connu de

Sendivogius. De 1598 à 1604, il avait effectué d'innombrables expériences sur le salpêtre pour enfin reconnaître cette substance „comme le commencement et la clef de toute la science hermétique” et la baptiser „Sal Centrale” — sel principal.

De son „Traité sur la pierre philosophale” il vaut la peine de citer encore un extrait caractéristique:

„Pour que tu puisses mieux t'imaginer comment se multiplient les métaux, afin d'éjecter et d'accepter la semence, regarde le ciel et les sphères des planètes: tu vois que Saturne est le dernier, précédé par Jupiter, puis par Mars, puis par le Soleil, qui suit Vénus, puis Mercure, la dernière place revenant à la Lune. Considère donc que les propriétés des planètes n'ascendent pas mais décroissent: l'expérience elle-même indique que Mars ne naît pas de Vénus, mais bien Vénus de Mars, étant une sphère plus bas, de même Jupiter se transforme facilement en Mercure. Jupiter tant le second à partir du Firmament, et Mercure le second à partir de la Terre, Saturne premier à partir du Ciel, et la Lune première à partir de la Terre”.

En substituant, conformément à l'usage des alchimistes des noms de planètes (le Soleil et la Lune étant également inclus dans leur nombre) à ceux des métaux, Sendivogius établissait la succession suivante:

Saturne — plomb
Jupiter — étain
Mars — fer

Soleil — or
Vénus — cuivre
Mercure — mercure
Lune — argent.

Nous y reconnaissons à première vue un système original de la cosmologie d'Aristote. Mais il est sûr que pour Sendivogius, il ne s'agissait ni d'astronomie ni d'astrologie, mais bien de chimie, et uniquement de chimie.

L'alchimiste basait ses constatations sur l'élimination de certains métaux des solutions de leurs sels par d'autres métaux plus actifs. Autrement dit, comme nous le formulons aujourd'hui, il est l'un des découvreurs de la série tensionnelle, introduite en chimie et en physique par Volta (1745—1827).

Il est frappant que dans le système de Sendivogius nous ne retrouvons rien de la magie et du mysticisme de Paracelse, dont il fut un continuateur éclairé. Dans ses oeuvres nous ne trouvons aucune trace des formules magiques et des exorcismes de Cornelius Agrippa de Nettesheim. La conception qu'avait Sendivogius du monde environnant était celle d'un naturaliste enthousiaste et d'un chercheur-empiriste qui s'efforçait d'élaborer un système de la nature en partant des lois qui la régissent.

En jugeant actuellement du rôle joué par Sędziwój-Sendivogius dans l'histoire de la chimie et de la science nous sommes en plein droit de le placer parmi les plus savants chimistes de la fin du XVI^e et du début du XVII^e siècles.

Une semaine au lieu d'un an pour contrôler les transistors

Les éléments utilisés en électronique aujourd'hui — transistors ou diodes — se caractérisent par une grande longévité. Les procédés de son contrôle préalable utilisés jusqu'à présent étaient fastidieux et coûteux. On plaçait mille transistors environ sur un pupitre spécial et on les maintenait sous tension maximale pendant des... milliers d'heures. Il fallait donc un an environ pour savoir si l'élément contrôlé était vraiment impeccable.

Trois spécialistes des usines polonaises „Tewa” MM J. Kołodziejczyk, H. Gładysz et J. Oleszkiewicz, ont imaginé un nouveau procédé — unissant des tensions graduellement accrues, „forcées”, à des calculs mathématiques et à la théorie des probabilités.

Les éléments contrôlés sont répartis en plusieurs groupes. Chacun est placé dans des conditions de charge, de température, d'humidité, etc., différentes. Graduellement ces conditions se détériorent, jusqu'à dépasser les limites possibles en régime normal et jusqu'à destruction de tous les éléments de chaque groupe. Les résultats sont classés et étudiés par analyse mathématique, puis extrapolés suivant les lois de la probabilité. Ainsi suffit-il d'une semaine, au lieu d'un an, pour obtenir des résultats beaucoup plus précis et plus complets, ainsi que l'a prouvé la pratique.

„LUBLIN“ w Cannes i w Plan-les-Ouates

W Cannes, Orange, Marsylii, Nicei, Vaison-la-Romaine w festiwalach folklorystycznych uczestniczył także amatorski regionalny Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej z Polski, obok innych 17 narodowości. Festiwal trwał cztery dni: przeprowadzony został systemem eliminacyjnym. A eliminowała zespoły publiczność.

Polski zespół okazał się jedynym, który przyjmowany był z niesłabnącym aplauzem przez cztery dni. Uznanie więc został za najlepszy. Polacy zjednali sobie uznanie jury, publiczności i miejscowej prasy.

Sukcesy lublinian w Francji poprzedzone były nie mniejszymi w Szwajcarii, gdzie bawili na zaproszenie

regionalnego zespołu „Le Feuillu” z Plan-les-Ouates koło Genewy. Dali tam szereg występów. W rewanżu zespół „Le Feuillu”, skupiający ludzi różnych zawodów i różnego wieku, w którym m.in. śpiewa mer miasteczka, wystąpił kilkakrotnie w Lublinie i miastach woj. lubelskiego.

Zespół „Lublin” istnieje 18 lat. Zrzesza ponad 50 dziewcząt i chłopców, specjalizujących się w tańcach i piosenkach regionu lubelskiego. Ma za sobą około dwóch tysięcy występów w Kraju i za granicą, m.in. we Francji, był wielokrotnie nagradzany, a w 1959 r. w Agrigento na festiwalu amatorskich zespołów regionalnych zajął pierwsze miejsce.

Dużym sukcesem zespołu „Lublin” jest to, że stał się bezpośrednim inspiratorem zorganizowania we Francji zespołu o tej samej nazwie w Pecquancourt. Znany on jest i ceniony na równi z „Oberkiem” z Lens, „Kujawiakiem” z Harnes czy „Karolinką” z Carvin. Należy on do czołowych zespołów Association de Amis de la Culture et du Folklore Polonaise czyli popularnej „Ligues de

Flandres”. Zespołem w Pecquancourt „Lublin” kieruje p. Maria Właśniak, która w Lublinie zdobyła ostrogi pracy artystycznej, będąc tam na zaproszenie kierowniczką i założycielką zespołu p. Wandy Kaniorowej. Związki między obu zespołami nawiązane przed kilku laty dały obfite owoce i są przykładem godnym naśladowania dla innych zespołów polonijnych we Francji. (KK)

KĄCIK DLA DZIECI

Podróż motyla

Przypadkiem, ukradkiem, w poranek pewien złoty — przez okno do pokoju wpadł duży, biały motyl.

Przyleciał — nie wiem skąd. Popatrzył w każdy kąt, i lekki i swawolny, na mapie usiadł szkolnej.

Tu rozejrzał się ciekawie i zadziwił wielce: — Jednym skrzydłem był w Warszawie, drugim musnął Kielce. Potem, mały krok do przodu i już znalazł się nad Odrą. Lewą nóżką był w Szczecinie, tam zaś brzuszkiem otarł Gdynię.

A następnie, bez namysłu, biały motyl spłynął Wisłą, nad Krakowem zatrzepotał, potem Śląsk różkami otarł... A stąd wprost, przez Katowice — frrr! — wyfrunął za granicę!

Zwiedził Niemcy, Francję, Danię, wszystkie łądy, wszystkie brzegi. Po błękitnym oceanie poszybował do Norwegii. Wreszcie zmęczony się i znużył, i miał dosyć tej podróży. Więc wyfrunął znów nad łąkę i tak rzekł do polnej róży:

— „Przez minutkę, słowo daję, przemierzylem wszystkie kraje.

Nigdy o tym nie wiedziałem, że ten świat jest taki mały!...”

Mały paryżanin zagubiony w Warszawie

10-letni Lionel Credier z Paryża przeżył w Warszawie niecodzienną przygodę. Będąc na wakacjach w Polsce wraz z rodzicami został sam w mieszkaniu, podczas gdy jego rodzice udali się na zwiedzanie miasta. Widocznie młody turysta czuł się pokrzywdzony, bo wykradł się z mieszkania i wybiegł samodzielnie do miasta...

Gdy rodzice i opiekunowie Lionela wrócili do domu i nie zastali chłopca — ogarnął ich strach i panika. Natychmiast zaczęły się poszukiwania. Jedna z pań wybiegła nawet na miasto, gubiąc w pośpiechu... pantofle.

Lionel tymczasem krzycząc i płacząc biegał po ulicach, nie zwracając uwagi ani na liczne pojazdy, ani światła drogowe... Dramat zakończył się jednak szczęśliwie. Lionela odnalazł kierowca przypadkowo zatrzymanego przez p.p. Credier samochodu osobowego. Odszukał on chłopca na jednej z najruchliwszych ulic w centrum Warszawy.

KK



Amatorski Zespół Pieśni i Tańca Ziemi Lubelskiej „Lublin” z wielkim powodzeniem występował na tegorocznym Międzynarodowym Festiwalu Zespołów Folklorystycznych w Nicei

Występy „Krakowiaków”

37-osobowy amatorski zespół pieśni i tańca Związku Spółdzielczości Pracy „Krakowiacy” z Krakowa brał udział ostatnio w dorocznym festiwalu folklorystycznym w Confolens (Charente). Cztery występy „Krakowiaków” wzbudziły wielkie zainteresowanie i uznanie publiczności, prasy, były transmitowane przez radio i telewizję paryską. Szereg piosenek z repertuaru polskiego zespołu radio nagrało na taśmie.

Po festiwalu w Confolens „Krakowiacy” występowali również w Mont d'Or, Bour-

ganeuf, Royan i Sables d'Olonne, a także i w innych miejscowościach — łącznie dając 15 występów, a także biorąc udział w defiladach w różnych ośrodkach zachodniej Francji.

W Sables d'Olonne spotkali się „Krakowiacy” z Rodakiem przybyłym ze Stanów Zjednoczonych — p. Adamem Dutke z Detroit. „Amerykański Polak” ze wzruszeniem oklaskiwał polskie tańce i piosenki, których tak bardzo spragniony jest za oceanem i gratulował zespołowi świetnych osiągnięć. Zdaniem jego „Kra-

kowiacy” osiągnęli poziom artystyczny najlepszych polskich zespołów folklorystycznych, takich jak „Śląsk” czy „Mazowsze”.

Klub Przyjaciół „Tygodnika Polskiego”

Romuald MĄDRAKIEWICZ, Otwock k. Warszawy, ul. Pułaskiego 8 m. 5 — pragnie korespondować z młodzieżą polonijną.

Józef ZAREK — Chełm Lubelski, ul. Narutowicza 3 — ma 17 lat, jest uczniem Liceum Ogólnokształcącego. Chciałby korespondować z rówieśnikami z Francji lub Belgii. Interesuje się historią, literaturą. Zbiera widokówki.

Stanisław OSYPIŃSKI — Łuków, ul. B.W.P. nr 1/1 — nawiąże korespondencję z młodymi ludźmi. Zbiera znaczki pocztowe i widokówki.

Henryk STASIAK — Legnica, ul. Muzealna 1/5, woj. wrocławskie — ma 18 lat i chciałby korespondować. Jego zamiłowania to muzyka, sport, film. Może wymieniać widokówki.

Janusz RAMOTOWSKI — Olsztyn, ul. Okrzei 23 m. 2 — interesuje się muzyką współczesną. Chętnie nawiąże korespondencję z dziewczyną w wieku 16—17 lat.

Marek GRYCZKA — Poznań, ul. Promienista 11 — jest uczniem Liceum Ogólnokształcącego (16 lat). Chciałby korespondować z młodzieżą polonijną z Francji lub Belgii, w celu wymiany płyt, znaczków pocztowych i widokówek.

Marceli ANDRZEJEWSKI — Psenno 61, powiat Świdnica, woj. wrocławskie — urodził się we Francji w Pointoise. W 1957 roku przyjechał na stałe do Polski. Interesuje się filmem, muzyką, piosenkami, sportem i turystyką. Czeka na listy z Francji lub Belgii.

Adam KALETA — Bystrzyca nad Olzą 399, powiat Frydek — Mistek CSSR — prosi o zamieszczenie jego adresu w „Tygodniku Polskim”, ponieważ może to pomóc mu w nawiązaniu korespondencji. Chciałby wymieniać widokówki kolorowe. Można do niego pisać po polsku, czesku, niemiecku, angielsku i w języku esperanto. Te same upodobania ma jego kolega, który również poszukuje chętnych do korespondowania. Nazywa się Ludwik Pawlik, zamieszkuje: Bystrzyca nad Olzą 57, powiat Frydek — Mistek CSSR.

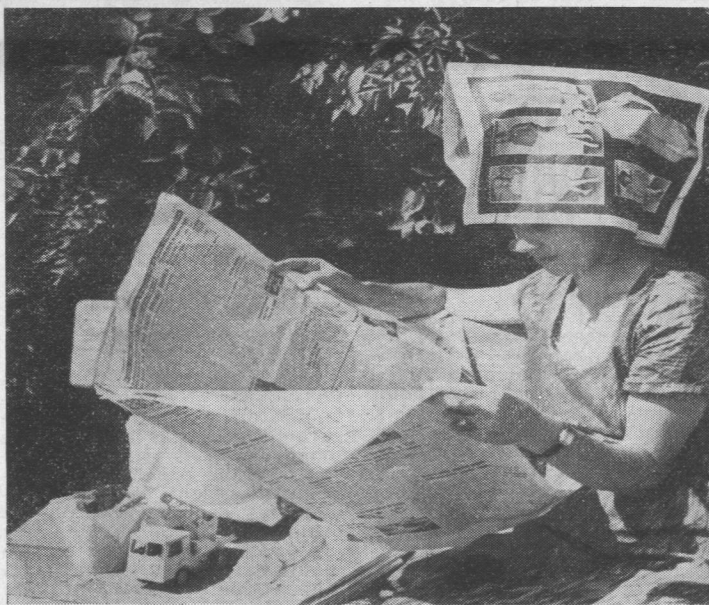
Barbara PAWŁOWSKA — Warszawa 12, ul. Rakowiecka 39 m. 47 — pragnie korespondować z młodzieżą polonijną z Francji lub Belgii.

Monsieur,

J'ai l'honneur de solliciter votre aide, pour l'affaire suivante: je voudrais correspondre avec une jeune fille de Pologne ou un jeune homme parlant le français.

Je suis d'origine polonaise, mes grands-parents sont natifs de Gdańsk, et je voudrais connaître quelqu'un de cette région de la Pologne, parlant le français; une jeune fille âgée de 17—18 ans ou un jeune homme âgé de 20—25 ans, étudiants ou d'une profession en rapport à la mienne (employée des postes).

Monique Alglane
46 bis, rue V. Hugo (59)
Onnaing



Tegoroczne upały radowały wprawdzie wczasowiczów i turystów, ale mieszkańcy Warszawy inspirowali do najróżniejszych form chronienia się przed nimi. W Parku Łazienkowskim w stolicy i gazeta ochroniła przed słońcem

POWRÓT Z WAKACJI

- Kto tam samolotem leci?
- To są dzieci, nasze dzieci!
- A skąd lecą? Skąd wracają?
- Z pięknych wczasów w polskim kraju.

— Patrzcie, patrzcie, jak wysoko mknie samolot wśród obłoków.
Minął Tatry i Karpaty,
płygnie niby ptak skrzydlaty.

Taka podróż się nie dłuży —
Ziemia w dole, niebo w górze.
Rzeki, sady, łąki, stawy,
są jak klocki do zabawy.

Wisła — wąska jak niteczka,
wioska — drobna jak kropczka,

góry cienkie niby kreski,
a jeziora jak trzy łezki.

Patrząc z góry, trudno wierzyć,
że tak można świat przemierzyć,
że tak można objąć okiem
kraj ogromny, kraj szeroki.

Lecz już wszystko znika w dali,
wnet będziemy lądowali!
Wnet samolot lot swój zniży
nad lotniskiem pod Paryżem.

Powracajcie teraz dzieci,
ale już nie zapomnicie
ani teraz, ani potem
tej podróży samolotem!

Zwycięstwo polskiej nauki

Padaczka jest uleczalna

NAUKOWCY I LEKARZE z poznańskiej Kliniki Neurologicznej AM posiadają interesujący dorobek i dobre wyniki w leczeniu padaczki. Wokół żadnej ze znanych nam chorób nie narosło tyle nieporozumień, przesądów i uprzedzeń.

Wniosek naukowców, którzy w ostatnich 20 latach dokonali w Poznaniu w leczeniu padaczki większego postępu niż w minionych wiekach medycyna światowa — jest optymistyczny: padaczka jest uleczalna. Nowoczesna nauka wykazała, że ludzie dotknięci epilepsją w znakomitej większości są zupełnie normalni i w odróżnieniu od powszechnej opinii — nie można mówić o ich upośledzeniu umysłowym. Historia wykazuje, że na padaczkę cierpieli nawet tak wybitni ludzie o nieprzeciętnej umysłowości, jak pisarze i myśliciele: Pascal, Byron, Flaubert, Dosto-

jewski, Maupassant; muzycy — Barlicz, Paganini; malarz — Van Gogh, politycy i reformatorzy — Aleksander Wielki, Juliusz Cezar, Piotr Wielki, Napoleon Bonaparte i inni.

Jak wynika ze statystyk światowych, co najmniej co dwusetny człowiek cierpi na epilepsję. Jest ona więc zagadnieniem społecznym. Zagadnieniem we wszystkich krajach, klasach społecznych i w każdym wieku, ale najczęściej wśród młodzieży. Można powiedzieć, że jest to choroba „stara jak świat”; wspominają o niej już tablice pokryte pismem klinowym z Niniwy przed 4 tys. lat. Starożytni Grecy zwali padaczkę „chorobą świętą”, a Arabowie sądzili, że Mahomet, który miewał napady padaczki — doznawał w tych stanach pozaziemskiego olśnienia. W Europie chorzy na padaczkę jeszcze 200 lat temu

byli piętnowani, więzieni, a nawet traceni jako „opętani przez duchy”. Jeszcze dzisiaj niektóre rodziny tych chorych odczuwają nieuzasadniony, fałszywy wstyd i lęk.

Padaczka mówiąc najogólniej, może powstać w wyniku uszkodzenia pewnej grupy komórek mózgowych, na skutek przyczyn chorobowych. Uszkodzenia te mogą być źródłem chorobowego podrażnienia, czyli tzw. ogniskiem padaczkorodnym. Gdy podrażnienie szerzy się w obrębie układu ruchowego mózgu — występują drgawki mięśni w obrębie układu wzrokowego, a chory widzi błysk itd. Ponieważ podrażnienie dotyczy różnych układów czynnościowych w mózgu, stąd też objawy napadów są różnorodne.

Niektórzy lekarze nie nazywają padaczki „chorobą”. Napad jest bowiem objawem zaburzonej czynności mózgu w wyniku różnorodnych uszkodzeń; przy nieprawidłowej ciąży, na skutek zapalenia opon mózgowych, urazów czaszkowo-mózgowych, ran itd. Czasem jest objawem guza mózgu.

Jak wynika z badań poznańskich naukowców, dzięki nowym metodom leczniczym i środkom farmakologicznym na 100 ludzi z napadami padaczkowymi — 80 osób pod wpływem leczenia może prowadzić normalny tryb życia. Dużą rolę w tym procesie odgrywa tryb życia, a także eliminowanie nie uzasadnionych przesądów i uprzedzeń otoczenia. Duże pole do popisu ma w leczeniu tej społecznej choroby psychologia. Istotnym elementem procesu leczniczego, zwłaszcza wśród młodzieży, jest także praca, wysiłek umysłowy, nauka i zajęcia. Stałe zajęcia, intensywna praca itp. sprawiają, że napady występują rzadziej, są łatwiejsze do opanowania. Korzystny wpływ wywiera na chorego życzliwe otoczenie, a na dzieci — rówieśnicy. Oczywiście proces leczenia musi przebiegać pod kontrolą lekarza.

D. DOWJNA - BIENAIME

TLUMACZKA
PRZYSIĘGŁA
PRZY WYŻSZYCH
SĄDACH W PARYŻU

Tłumaczenia urzędowe
ważne w całej Francji

23, quai de la Tournelle
PARIS (5e)

TELEFON: ODEon 41-17
METRO: PONT-MARIE

SMACZNEGO!



GORĄCE ZAKĄSKI

Pani M.B. z Paryża prosi o przepis na zimne i gorące zakąski. W jednym z poprzednich numerów „TYGODNIKA POLSKIEGO” podawaliśmy przepis na zimne zakąski. Dziś podajemy dwa przepisy na zakąski gorące. Oto one:

GRZANKI Z MÓZDŻKIEM

30 dkg mózgu, 4 dkg masła, 3 dkg cebuli, 2 jajka, sól, pieprz, 3 dkg tartej bułki, 1 paczka chleba kanapkowego, zielona pietruszka.

Mózg obrać z błon, posiekać. Cebulę drobno pokrajać, lekko zrumienić na jasnożółty kolor na tłuszczu. Do zrumienionej cebulki włożyć mózg, lekko zasmażyć, następnie wbić jajka, dodać soli, pieprzu do smaku. Wszystko razem wymieszać i podsmażyć. Chleb kanapkowy przekroić na dwie części, posmarować masłem z dwóch stron i bardzo lekko zrumienić na patelni. Na jedną powierzchnię chleba kanapkowego nałożyć mózdzek. Grzanki położyć na blasze, posypać zrumienioną bułeczką, skropić roztopionym masłem i wstawić do silnie rozgrzanego piekarnika na 10 minut. Po wyjęciu z piekarnika grzanki posypać drobno posiekaną pietruszką.

KABACZKI NADZIEWANE MIĘSEM

1 kg młodych kabaczków, 35 dkg mielonej wieprzowiny lub baraniny, 5 dkg czerstwej bułki, 4 dkg cebuli, 1 jajko, 3 dkg tłuszczu, sól, pieprz, 1/8 l śmietanki, łyżka mielonej pietruszki.

Kabaczki opłukać, obrać, wydrążyć łyżeczką nasiona, lekko osolic. Przyrządzić nadzienie: do mięsa dodać jajko, sól, pieprz, namoczoną bułkę, cebulę pokrojoną i zrumienioną na złoty kolor. Wszystko razem dobrze wymieszać i nadziewać tym farszem kabaczki. Następnie ułożyć je w piaskim rondlu w jednej warstwie i zalać niewielką ilością wody. Wstawić do gorącego piekarnika na 20—30 minut. Śmietanę osolic, wymieszać z łyżeczką maki i zalać kabaczki. Przez chwilę zapiekać, następnie wyjąć ostrożnie na półmisek, oblać sosem i posypać siekaną pietruszką. Zamiast śmietany można zrobić sos pomidorowy i nim zalać kabaczki.

RADY OD SERCA

SZANOWNA PANI ANNO!

Przeczytałam w „Tygodniku” list podpisany „Nieszczęśliwa”. Osoba ta pisała o swojej teściowej, która wniosła do jej domu nieszczęście. Radzi pani tej kobiecie, aby zmieniła stosunek do teściowej. Ja nie wierzę, że to może pomóc. Opiszę pani moje doświadczenia.

10 lat temu przyjechała do nas teściowa na dwa tygodnie i jest do tej pory. W krótkim czasie zawiadnęła domem. Wszelkie moje próby przeciwstawienia się powodowały kłótnie z mężem, który jest całkowicie pod wpływem matki. We własnym domu czuję się intruzem, boję się cokolwiek powiedzieć. Podlegam stałej krytyce męża i teściowej.

Milczałam i cierpiałam. Dzieci podrosły. Wychowuję je sama. Mąż i teściowa interesują się tylko sobą.

Małżeństwo nasze, zrodzone z miłości, mocno się chwileje. Powodem jest wyłącznie teściowa. Nigdy nie wychodzi z domu, nie zostawia nas ani na chwilę samych. Mężowi zabiera każdą wolną chwilę na osobiste rozmowy bez mnie.

Mąż ze mną w ogóle nie rozmawia, jakby mnie nie było. Tydzień temu powiedziałam mężowi, że dłużej takiego stanu nie zniosę. Stwierdził, że mogę sobie iść, albo on odejdzie z matką. To ona, teściowa, dąży do rozbicia naszego małżeństwa i mężowi takie myśli poddaje. Kocham go i tym bardziej cierpię. Zaniedbuję się w pracy, schudłam, bo nie mogę jeść. Ale niktogo to nie obchodzi. Nikt na mnie nie zwraca uwagi. Nie wiem czy ja jestem żoną mego męża, czy moja teściowa? Już nie mogę dłużej tego znieść.

ZONA

DROGA PANI!

Takie wypadki jak ten, który pani opisuje, niestety, czasem się zdarzają. Są bowiem kobiety starsze, na ogół matki synów jedynaków, które nie mogą się pogodzić z myślą, że inna kobieta zajęła ich miejsce u boku syna.

W takich przypadkach wszystko zależy od owego syna.

Jeśli potrafi utrzymać proporcje, zachować miłość i szacunek dla matki i otoczyć uczuciem żonę, wszystko jest dobrze. Jeśli nie — dzieje się tak, jak w pani sytuacji.

Jakie jest wyjście? Dziś, po dziesięciu latach — nielatwe. Osobiście zaryzykowałabym

mały szantaż. Niech pani powie, żeby mąż opuścił dom wraz ze swoją matką. Zobaczymy, co to da. Niech pani zażąda, by płacił na utrzymanie dzieci. Może wtedy się zastanowi. Niewykluczone.

ANNA

DROGA PANI ANNO!

Mam lat blisko 31 i właściwie powinnam się zaliczać do starych panien, mimo że przeżyłam bardzo wiele. Przez dziesięć lat byłam związana z pewnym człowiekiem. Żyłam z nim jak z mężem. Kochaliśmy się bardzo, to znaczy ja kochałam jego, a on mnie chyba mniej.

Często obiecywał, że się pobierzemy. Żyłam tą nadzieją. Wreszcie przestał mówić o małżeństwie. Byliśmy razem. Wszyscy uważali nas za małżeństwo. Stawiałam się coraz bardziej nerwowa, bałam się ludzi, pytań. Zrobiłam się potwornie zazdrosna. Wystarczyło, że on spojrzął na jakąkolwiek dziewczynę — wychodziłam z siebie. Tak było dziesięć lat. Pewnego dnia mój ukochany wyjechał bez słowa, było to rok temu, i od tej pory nic o nim nie wiem.

Zmarnowałam najlepsze lata. Kto się teraz ze mną ożeni? Czuję się oszukana, pozabawiona szansy stworzenia rodziny. Piszę te słowa, żeby przestrzec inne dziewczyny, które mogą dać się unieść pięknym słówkom.

PORZUCONA

DROGA PANI!

W istocie, nie bardzo pani udało się ta miłość, pierwsza i jedyna. Ale nie widzę powodu do dramatu. Piszę pani — mam 31 lat, jak gdyby tych lat było 50. Cóż to jest te trzydzieści jeden lat? Rozsądne kobiety dopiero w tym wieku — w dzisiejszych czasach — decydują się wychodzić za mąż. A pani chce już zrezygnować? Dlaczego? Nie widzę powodu. Tylko trzeba się otrząsnąć, już najwyższy czas, rok żałoby minął. Trzeba zacząć bywać wśród ludzi, śmiać się, bawić, cieszyć życiem. I nie czekać, by minęło bezsensownie.

Nie pisze pani nic o swojej pracy, ale myślę, że ma pani zawód, samodzielność, możliwe zarobki. Na pewno spotka pani odpowiedniego kandydata na męża. Życzę tego z całego serca. A inna rzecz, że przestroga zawarta w pani liście może przyda się innym.

ANNA

SPRZĘT
UŻYTKU
DOMOWEGO

VINGE T
P
OUR T 20%
CEN T

OSZCZĘDNOŚĆ — PEWNOŚĆ

Wszystkie najlepsze marki po najniższej cenie

IP 7, rue de la Cuve d'Or
VINCOURT MENAGER

DOUAI

122, Place d'Armes
VINCOURT ELECTRONIQUE

- ◆ Aparaty elektryczne
- ◆ Radiodbiorniki
- ◆ Telewizory (najlepszy odbiór) „Hi-Fi”

LISTY Józefa
Grzybka

„Rentrée”

PANIE REDAKTORZE!

Wyczyszczone, wyglansowane walizki wróciły na dawne miejsce — pod łóżko, na szafę, na strych; kostiumy kąpielowe, letnie spodnie i sukienki schowane zostały do wypelnionych zapachem nąfталiny garderob; wszyscy już zdążyli pochwalić się swoimi wakacyjnymi wyczynami; pokazać swoją opaleniznę, opowiedzieć o tym, jak to na wakacjach było cudnie, jakie to niesamowite oglądało się krajobrazy i kobiety — słowem, po wakacjach zostały już tylko wspomnienia.

Zaczyna się tzw. „rentrée”. W księgarniach pojawiają się nowe książki, zwłaszcza nowe podręczniki szkolne, zeszyty, piórniki, tornistry, aktówki. We wszystkich większych sklepach napisy „pour vos vacances” zastąpiły napisy „pour la rentrée”. Rodzice dzieci w wieku szkolnym i gimnazjalnym kalkuluja, naradzają się, martwią — bo to i książki trzeba pociechom kupić, i zeszyty, i coś z przyodziewku także... A przecież idzie już także jesień, niezadługo trzeba będzie dokupić na zimę węgiel, zaopatrzyć się w ziemniaki...

Mam teraz trochę czasu — w ogródku we wrześniu nie ma właściwie co robić, kopicie będą dopiero w październiku, króliczarnię naprawiłem już w sierpniu, psia będzie też już na nowo pomalowałem — więc chętnie ucinam sobie ze znajomymi rozmowy, z większą niż kiedykolwiek cierpliwością i uwagą słucham cudzych słów, łatwiej daję się wciągnąć w dyskusję — jak chyba wszyscy skazani o tej porze roku na fizyczną bezczynność emeryci.

Mówimy przeważnie w kolonii o tym wszystkim, co się składa na aktualne codzienne życie. Starsi emeryci często mówią o „silikozie” — obawiają się jesiennych i zimowych mgieł, które chorych na pylicę przyprowadzają czasem o prawdziwe męczarnie. Bardzo często mówimy także o młodzieży. W związku z rozpoczynającym się już wkrótce nowym rokiem szkolnym opowiada się o kształcących się synach, córkach, wnukach, z dumą podkreśla się, że są już w takiej a takiej klasie, że mają już za sobą takie a takie ważne egzaminy, że uczą się dobrze, że zdobywają dobre zawody...

Zdarza się czasem, że entuzjastyczny ton takich opowiadań nagle i bezpowrotnie — zamiera. Wystarczy, aby ktoś zauważył, że, niestety, nie wszystkie dzieci urodzone w polskich domach znają język polski...

Ta sprawa — znajomość języka polskiego u młodych ludzi pochodzenia polskiego — jest w tym okresie „rentrée” jedną z naczelnych trosk wielu starszych emigrantów. Rozpoczyna się oto nowy rok szkolny, nowy okres nauki i sprawa ta staje się dla wielu dziadków na nowo bardzo aktualna i — bywa — bolesna. — Bolesna dlatego, że na nalegania dziadków, aby uczyć wnuka czy wnuczkę języka polskiego, rodzice niejednokrotnie odpowiadają, że to zbyt ciężkie, że po co, że dziecko ma już i tak dużo zajęć, itd...

Są także i tacy rodzice, którzy wyznają pogląd, że nieznajomość języka polskiego nie jest żadną tragedią, bo przywiązanie do Polski da się przecie także wyrazić w języku francuskim.

To prawda. Ale — ale i ja także zaliczam się do tych,

którzy nie mogą pojąć, jak może dojść do tego, aby rodzice rezygnowali z nauczania dziecka jeszcze jednego języka. W naszych czasach, kiedy znajomość języka obcego stanowi swojego rodzaju dyplom. I to języka pięknego, bogatego, w dodatku zaś — języka ojców i dziadków...

„Rentrée”. Niezadługo dzieci zaczną się uczyć. Do „normalnej” nauki we francuskiej szkole czy liceum zawsze można — wiem o tym z własnego doświadczenia — „docześcić” dziecku w domu chwilę rozmowy w języku polskim albo od czasu do czasu lekturę łatwej polskiej książki. W moim przekonaniu jest to nawet rodzicielskim obowiązkiem.

Bywajcie zdrowi, Drodzy moi.

JÓZEF GRZYBEK
z NORDU

§§ MECENAS RADZI

Pan Stanisław FORC, LASAUVAGE,
poste RODANGE (Luxembourg)

Czy matka i ja możemy sprzedać ziemię należącą do ojca, zmarłego kilka miesięcy temu, którą to ziemię uprawiają w Polsce jego siostry.

Ustawa polska z 29 czerwca 1963 o ograniczeniu podziału gospodarstw rolnych, objęta obecnie tytułem X Kodeksu Cywilnego, w art. 1059 przewiduje, że w stosunku do powyższych gospodarstw mogą dziedziczyć:

1) spadkobiercy, którzy przed otwarciem spadku pracowali w tym gospodarstwie; 2) którzy prowadzą inną indywidualną gospodarke; 3) w chwili otwarcia spadku są małoletni lub uczęszczają do szkół; 4) niezdolni do pracy i renciści. Spadkobiercy wyżej określone, o ile nie pracują w gospodarstwie, otrzymują spłaty, których wysokość i sposób uregulowania są ustalone w drodze rozporządzenia. Przepisy powyższego artykułu stosują się również do małżonka spadkodawcy.

Art. 1062 Kodeksu Cywilnego przewiduje, że bracia i siostry spadkobiercy dziedziczą z ustawy gospodarstwo rolne, jeżeli odpowiadają jednemu z warunków przewidzianych w art. 1059, z tym, że ci spośród rodziców spadkodawcy, którzy bezpośrednio przed otwarciem spadku pracowali w należącym do spadku gospodarstwie rolnym nieprzerwanie co najmniej od roku i dla których ta praca stanowiła główne źródło utrzymania, dziedziczą gospodarstwo także w wypadku, gdy dzieci spadkodawcy nie mogą tego gospodarstwa dziedziczyć w braku warunków przewidzianych w art. 1059.

W tej sytuacji porozumienie polubowne z siostrami zmarłego ojca byłoby jak najbardziej wskazane.

Wieści z ośrodków Polonii w świecie

**W N. JORKU
W ROCZNICĘ BITWY
POD GRUNWALDEM**

W rocznicę bitwy pod Grunwaldem odbyła się w Central Park w N. Jorku manifestacyjna uroczystość polonijna złożona wieńca pod pomnikiem króla Władysława Jagiełły. Pomnik Jagiełły stanowił jeden z głównych akcentów polskiego pawilonu na Światowej Wystawie w Nowym Jorku w roku 1939. Po wybuchu wojny pomnik pozostał w Ameryce i staraniem Polonii stanął w centralnym parku Nowego Jorku.

**AUDYCJA O POLAKACH
W ANGLII W BBC**

W programie telewizyjnym BBC — „Mniejszości w Wielkiej Brytanii” nadano audycję o Polakach. W audycji zwracała uwagę informację na temat wkładu Polaków w życie gospodarcze Anglii i ich udział w brytyjskiej działalności społecznej. Na Wyspach Brytyjskich działa m.in. 650 lekarzy polskich, 6 tysięcy inżynierów i techników, 100 pracowników wyższych uczelni oraz 500 Polaków nauczycieli.

**ZAINTERESOWANIE
WYSTAWĄ SKARBÓW
POLSKIEJ SZTUKI
I RZEMIOSŁA**

Prasa polonijna publikuje coraz więcej informacji o wystawie skarbów polskiej sztuki i rękodziela artystycznego

z okresu XI—XIX wieku, przygotowanej przez Muzeum Narodowe w Warszawie i Komitet w Chicago, dla ekspozycji w muzeach amerykańskich i kanadyjskich.

Wystawa, po jej krótkiej ekspozycji w Warszawie, wyruszy na początku września na pokładzie „Batorego” do Montrealu, skąd przewieziona zostanie do Chicago. Jej otwarcie nastąpi 11 października w tamtejszym Art Institute. W okresie późniejszym wystawa pokazana zostanie w innych miastach USA i Kanady, między innymi w Ottawie.

**„DOM MILENIUM”
W AUSTRALII**

Dla uczczenia 1000-lecia Państwa Polskiego Polonia australijska w Maitland prowadziła od lat zbiórki na budowę Domu Polskiego. Uroczystość otwarcia Domu odbyła się pod koniec lipca. Dom otrzymał nazwę „Domu Milenium” i będzie siedzibą klubu miejscowej Polonii. Odbywać się w nim będą wszystkie polonijne imprezy kulturalne.

**ZGON RED. JÓZEFA
KISIELEWSKIEGO**

W Irlandii zmarł w wieku lat 60 były redaktor przedwojennej poznańskiej „Tęczy” i b. redaktor katolickiego tygodnika „Życie” w Londynie — Józef Kisielewski — autor bardzo znanej przed wojną książki „Ziemia gromadzi prochy”.

„Tysiąc lat temu rodziła się Polska...”

Ciekawa praca Leona Kołodzieja ukazała się w Milawie

Editions Salvator, Mulhouse, wydały bardzo ciekawą książkę Leona Kołodzieja, wykładowcy Uniwersytetu w Aix-en-Provence i Marsylii — „Il y a mille ans naissait la Pologne (966—1966)”.

Jest to jak gdyby opowiadanie utrzymane w tonie bardzo ciekawym i przystępnym dla każdego czytelnika. Legenda spleta się tu z historią, a wydarzenia i dziejowy proces tworzenia się państwa polskiego ukazane są w obrazach barwnych i żywych.

Książka zaczyna się od rozdziału przedstawiającego życie pogańskich Polan. Na tym tle zarysowana jest w następnych rozdziałach postać Mieszka I, jego walki, budowa państwa, chrystianizacja kraju i tworzenie jego potęgi. Szczególnie ciekawie przedstawia autor działalność Bolesława Chrobrego, jego dążenie do uzyskania niezależności od cesarstwa i zjedno-

czenia Słowian środkowej Europy.

Popularna forma narracji, zubożyły ani nie umniejszają literackie ujęcie historycznych faktów i przemian nie tylko ściśle podawanych wiadomości. Praca Leona Kołodzieja oparta jest na źródłach naukowych, łącznie z najnowszymi wynikami prac polskich historyków i archeologów. Jest to pełna wdzięku, wartościowa lektura dla wszystkich: i tych którzy chcą poznać dzieje początków Państwa Polskiego, i tych którzy posiadają nawet poważny zasób wiadomości z tego zakresu.

Książka ta ukazała się w okresie, gdy Polska obchodzi swe Milenium. I to stanowi dodatkową jej wartość. „Il y a mille ans naissait la Pologne” Leona Kołodzieja to pozycja, która powinna znaleźć się w każdej bibliotece.



Les ETS. DEVAUX vous proposent une sélection de trois ensembles à des Prix Publicitaires, articles de qualité de garantis:

BELLE CHAMBRE acajou polyester
Armoire 1 m 65 avec 2 glaces-Lit-Chevet-
Sommier-Matelas ressorts
Eté-Hiver-Polochon-Couvre lit nylon
Les 7 pièces: 1395.00

SALON SKAI 3 P.
Banquette-lit et 2 gros fauteuils
(très belle présentation)

Les 3 pièces: 1190.00

CUISINE stratifié ton bois avec buffet 2 corps
1 m 20 Table allonges 100 X 70 4 chaises
assortie

Les 6 pièces: 599.00

ETS. JACQUES DEVAUX — 2-bis, rue Pasteur (obok fosse 2-bis) MARLES-les-MINES — tel: 10



SPOTKANIA BULISTÓW

SAINT-VALLIER. Konkurs stow. „L'Amicale Boule” w dubletach skończył się sukcesem pary Furmański i Silveri w stosunku 15:7.

CLUNY. Para Daillet i Bednarski przegrała w czwartej partii w walce o tytuł mistrza rejonu Laval-Villefranche.

PECQUENCOURT. W konkursie dorocznym stow. „Des Stades Beaulieu” drugie miejsce zajął zespół Troszyński, Maryś i Denschi, 4 Kosirowska, Nowicki i Jarosz, 5 Bogala, Pourrier i Diaz. Puchar p. Kaczmarek zdobył zespół z Guesnain.

SAILLY-LABOURSE. P. Marius Adamczewski zwyciężył w konkursie „L'Amicale Laïque”, w którym wzięło udział przeszło 40 zawodników.

KĄCIK

HODOWCY GOŁĘBI

DIVION. P. Marian Pawlaczek zajął drugie miejsce w zestawieniu rocznym „au plus grand nombre de prix en dessous de Paris”. Wyróżnili się ponadto w tych seriach p. Łamaszewski, p. Bernard Cieśliewicz, p. Jezuita oraz p. Morgiel. W kat. młodzików 1966 p. Morgiel i p. Łamaszewski są pierwsi, p. Pawlaczek 5. Serię „3 premiers inscrits 1966” wygrał p. Łamaszewski przed p. Morgielem i p. Pawlaczkiem. Serię zespołową jednolatków wygrał p. Cieśliewicz, podczas gdy p. Pawlaczek był drugi.

GUESNAIN. W konkursie „Aniche-Auberchicourt sur Angerville” w kat. młodzików p. Szemlik zajął pierwsze miejsce i 17, a p. Łukowiak z Auberchicourt 2, 3, 5, 7 i 10. W seriach wygrał p. Łukowiak.

ABSCON. P. Galusik był 10 w konkursie „sur Chantilly” stow. „La Liberté”, a p. Ciemniowski 18 (lot starych gołębi). P. Ciemniowski zajął miejsca 3 i 9 (lot młodych gołębi).

CALONNE-RICOUART. W zestawieniu rocznym w kat. „en dessous de Paris” p. G. Łysok jest 4, p. Was 7, p. Specjał 9 i p. Kaczmarek 10. W kat. jednolatków gołąb p. Łysoka zajął 7 miejsce.

BRUAY-en-ARTOIS. Stow. bulistów „Trójki” urządziło kilka konkursów w ramach święta lokalnego. I tak: w konkursie o nagrodę miasta p. Bruno Mikołajczak zajął 3 miejsce, o nagrodę „bouchons” p. Franciszek Jamrozik był 3, w „Jeu 421” zwyciężyła p. Anna-Maria Krawczyk. W serii ogólnej p. Franciszek Jamrozik był 3, p. Ignacy Michalak 4, i p. Jan Knebel 5. Wycieczka do Calais zakończyła konkursy.

LOKALNE PIĘKNOŚCI

HARNES. Dzielnica „Grand Moulin”, w konkursie urządzonym w ramach święta lokalnego, wybrała królową piękności p. Annę Rybak, której przedstawiciel miasta wręczył wartościowy upominek.

OGRÓDKI PEŁNE KWIATÓW

NOEUX-les-MINES. Zarząd miejski zorganizował konkurs ukwieconych domów. W serii domów z klombami pierwsze miejsce zajął p. Adamkiewicz, 4 p. Włoch i 11 p. Łuczak. W serii domów z ozdobioną fasadą p. Stepaniak był pierwszy, a p. Szelemacha 3.

Z ŻYCIA STOWARZYSZEŃ

HAILLICOURT. W sali p. Kułakowskiego odbyło się nadzwyczajne walne zgromadzenie odznaczonych medalami pracy. Do zarządu zostali wybrani m.in. p. Stefan Nawrot oraz p. Franciszek Adamczak.

DOURGES. W wyniku strzelania w dniu 15 sierpnia p. Zalewski zajmuje w dalszym ciągu miejsce pierwsze mając 193 pkt. Na trzecim miejscu jest p. Alojzy Grosz (186 pkt), na czwartym p. Henryk Mielczarek (185 pkt), na 5 p. Ratyński (ojciec), na 6 p. Edward Ponicki, na 7 p. F. Danielczak, na 8 p. Magdziarek, na 9 p. Pogorzelski, na 10 p. Kosiński, na 11 p. R. Kubiak oraz na 16 p. G. Kubacki. Następne spotkanie może dać pierwsze miejsce p. Groszowi lub p. Mielczarkowi, którzy osiągają coraz lepsze rezultaty w tym stałym konkursie.

Poszukiwanie rodzin

Eugeniusz Korytowski, zamieszkały w Polsce: Zalesie Górne k. Warszawy, ul. Poranku 12, poszukuje brata HENRYKA KORYTOWSKIEGO urodzonego w 1901 roku w Warszawie, syna Aleksandra i Bronisławy z domu

Krzyckowskiej. Henryk Korytowski w latach 1921-1939 mieszkał w Lille. Osoby, które znają losy poszukiwanego proszone są o wiadomość.

DYPLOMY ZAWODOWE

LENS. Dyplomy „brevets” w zakresie fryzjerstwa otrzymali pp.: Edwin Lisiecki, Jean-Claude Ptak, Roger Dziecioł, Jean-Claude Ruczyński, A. Kmiecik, Janina Pogorzelska, Teresa Maik, Marguerite Pacala. Dyplomy „CAP” zdobyli pp.: Ryszard Pacanowski, René Śmiejezak, Edmund Szulerecki, Christian Urbaniak, Andrzej Woźniak, Christine Czarnecka, Dorota Klamka, Claudine Klarczyk, Irena Łowczyk, Marylaine Roszyk, Daniele Rudnicka, Maryline Włodarczyk, Anne-Marie Krug.

ARRAS. W centrum kształcenia zawodowego dyplomy „CAP” uzyskali — w mechanice: p. Raymond Lewandowski, w zakresie konstrukcji mechanicznej: p. Georges Karas, p. Christian Magdziarek, w zakresie tokarstwa: p. Felix Dzienkowski, w zakresie elektryczności: p. Roman Antoszewski, w zakresie spawaczy: p. Leon Kowalczyk, p. Leon Kostrzewski, p. Fabien Sobczyk.

ARRAS. Decyzją komisji departamentalnej dyplomy „CAP” w zakresie „Arts Ménagers” otrzymały: Janina Bidiak, Eveline Włodarczyk, Lidia Wojciechowska, Annie Dolna, Cécile Muślewska, Claudine Łukowska, Patrycja Kujawa, Lisette Kuczyńska, Christiane Marciniak, Chantal Woškowiak.

NASZA KRONIKA RODZINNA

Sto lat dla Nowożeńców!

Ku radości rodziny i przyjaciół ostatnio małżeństwa zawarli:

MONTCHANIN-les-MINES: Danielle Jacquemin i Zygmunta Woźniak. **BÉTHUNE:** Nadine Urbaniak i Daniel Witse. **BILLY-MONTIGNY:** Nicole Dutkiewicz i Jean Caron, Marie-Thérèse Szczepańska i Serge Delmarre, Nicole Calonne i Stanisław Fikas, Danielle Czechlewska i Georges Marcinkowski, Monika Skiba i J.-Pierre Guerin. **ROOST-WARENDIN:** Christiane Tomaszewska i Seweryn Pawlaczek. **LOOS-en-GOHELLE:** Regina Starosta i Jean-Claude Verhaeghe. **LOISON-sous-LENS:** Stanisława Urban i Stefan Balcer. **HERSIN-COUPIGNY:** Anne-Marie Szymańska i Daniel Kowalski, Arlette Kalińska i J. Claude Komorowski. **NOYELLES-sous-LENS:** Ghislaine Gavois i



KU CZCI POLEGŁYCH W WALKACH O NORMANDIĘ

W LOUVIÈRES-en-AUGE, w pobliżu Falaise gdzie w 1944 roku toczyła walki I Polska Dywizja Pancerna, odbyła się ostatnio uroczystość ku czci poległych żołnierzy armii sprzymierzonych. Uroczystość zorganizowana została przez miejscowego proboszcza, polskiego pochodzenia, ks. ZYGMUNTA JASTRZĘBSKIEGO przy współudziale polskiej kolonii, w tej liczbie byłych żołnierzy I Dywizji.

Na uroczystości obecnych było bardzo wielu Francuzów, wśród nich szereg znanych osobistości oraz delegacje stowarzyszeń kombatanckich polskich i francuskich ze sztandarami. Ludność miejscowa zachowuje zawsze we wdzięcznej pamięci ofiarną walkę Polaków o wyzwolenie Normandii. Przy dźwiękach hymnów narodowych polskiego i francuskiego złożono w miejscu wstąpienia do stóp pomnika poległych wieńce. W imieniu Ambasady PRL w Paryżu wieńce złożył p. JEREMI CZUŁIŃSKI, sekretarz Ambasady.

wiak. **SILVANGE:** Thierry Majchrzak. **HENIN-LIETARD:** Cathy Paczkowska, Sandrine Paczkowska, Eric Sztatowski. **HERSIN-COUPIGNY:** Ryszard Antoniewicz. **MARLES-les-MINES:** Patrick Kochański. **AUTUN:** Pascal-Francois Kmieć. **AMNEVILLE:** Corinne Fuchs-Nowicka, Rachelle Wesoły.

Szczęśliwym Rodzicom życzymy dużo pociechy z tych najmłodszych.

Z żałobnej karty

Z żalem donosimy, że ostatnio odeszli od nas:

MONTCEAU -les - MINES: Marianna Wybieradzka z domu Janczak, lat 77, Stanisław Klemenczak, lat 52. **AVION:** Franciszka Niedostatek z domu Wojtowicz, lat 72. **BAR-LIN:** Jan Kościelniak, lat 67; Adam Mickiewicz, lat 44, Mieczysław Kotula, lat 49. **BILLY-MONTIGNY:** Weronika Wojciechowska z domu Prętka, lat 79. **SALLAUMINES:** Józef Sznappa. **LENS:** Stefan Jakubiak, lat 58, Walenty Kubiak, lat 59, Leon Rosmarowski, lat 46. **LOOS-en-GOHELLE:** Józefa Drejza z domu Kuleczka, lat 75, Walenty Kryszak, lat 63, Franciszek Olszak, lat 62. **BÉTHUNE:** Józef Łukasiewicz, lat 60. **LAL-LAING:** Michał Gorczak. **BRUAY-en-ARTOIS:** Jan Rembowski. **ST.-ETIENNE:** Jan Grusiecki.

Rodzicom Zmarłych składamy serdeczne wyrazy współczucia.

20 sierpnia zmarł w Paryżu, w wieku 70 lat, Józef MACIURA, długoletni pracownik Banku Polska Kasa Opieki w Paryżu. Pogrzeb odbył się na cmentarzu Saint-Ouen-Parisien w dniu 25 sierpnia 1966 roku. Kondukt żałobny wyruszył z Kościoła Polskiego przy ul. Saint-Honoré w Paryżu. Żonie i całej Rodzinie Zmarłego składamy wyrazy szczerego współczucia.

LA BOUTIQUE VOUS INVITE! ● PO WAKACJACH NADESZŁY

Ciekawe książki

Nowe płyty

Przepiękne wyroby ludowe

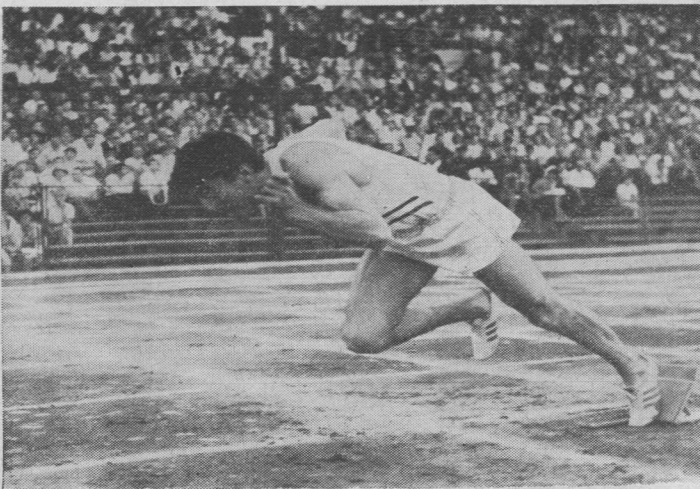
Serie znaczków pocztowych

LA BOUTIQUE CIĘ ZAPRASZA! ● ZAPAMIĘTAJ NASZ ADRES:

25, rue Drouot, Paris 9

tel. 770 - 83 - 37

c.c.p. Paris 189-46-68



Andrzej BADEŃSKI, od 3 lat niepokonany w Kraju na dystansie 400 m, w tym sezonie doznał 3 kolejnych porażek. W tabeli wyników na czoło wysunął się Jerzy Werner (45,7). Ambitny Andrzej wziął sobie do serca porażkę i solidnie trenował

SIATKARZE WALCZĄ O AWANS DO FINAŁU VI MISTRZOSTW ŚWIATA

Siatkówka w Polsce jest jedną z najpopularniejszych dyscyplin sportu. Ma swoje wielkie tradycje i odniosła niejedną już sukces. Polskie drużyny należą do czołówek światowej i nieraz grały we Francji.

Najlepsi siatkarze 3 kontynentów, reprezentanci 23 krajów, rozgrywają teraz wielki turniej w Czechosłowacji. Finały odbędą się w Pradze w dniach 17—23 września. W turnieju biorą udział oczywiście reprezentacje Francji i Polski. Jednak w eliminacjach oba te zespoły grają w innych grupach. Ostatni raz bezpośrednio spotkały się drużyny reprezentacyjne w Pucharze Narodów. Cenne trofea zdobyli Polacy. Francuzi w eliminacjach mistrzostw świata wylosowali grupę B, gdzie przodują siatkarze radzieccy, wielokrotni mistrzowie świata i mistrzowie olimpijscy z Tokio. Najgroźniejszym przeciwnikiem Polaków w grupie C jest reprezentacja Rumunii.

Aby lepiej przygotować się do ciężkiego turnieju w Czechosłowacji, Polski Związek Siatkówki zaprosił na dwa mecze reprezentację Japonii. Warto przypomnieć, że w Tokio na olimpiadzie, Japończycy zdobyli medal brązowy, a polska drużyna męska nie startowała. Oba mecze Polska — Japonia rozegrane w Warszawie przyniosły zwycięstwa po 3:1 gospodarzom.



Edward CZERNIK, znów wraca do formy. Jego najlepszy w tym sezonie wynik 2,16 daje mu szansę na jeden z trzech medali. Lepszy wynik od Polaka miał w Europie jedynie Skworców (ZSRR) — 2,21

POLSKI KOLARZ MARIAN KEGEL CZWARTY NA ŚWIECIE!

NA KOLARSKICH MISTRZOSTWACH ŚWIATA dla amatorów, rozegranych w Kolonii (NRF), dobrze prezentowali się Polacy. W wyścigu indywidualnym na dystansie 182,5 km Marian Kegel przegrał o ułamek sekundy do Duńczyka Skiby, który zdobył brązowy medal. Obaj kolarze, Duńczyk i Polak osiągnęli identyczny czas, ale gorszy o 40 sek. od wyniku jaki uzyskali mistrz świata Dolman (Holandia) i wicemistrz West (Anglia). Zwycięzca przebył trasę w

4.59,33 z szybkością przeciętną 36,5 km/godz.

W wyścigu wśród 146 zawodników z 32 krajów, oprócz Kegela startowali: Gawliczek, Bławdzin, Kudra, Beker i Forma. Dobrze pojechali Gawliczek — 22 i Bławdzin — 25. Gorzej poszło Kudrze — 58 i Bekerowi — 62. Forma miał defekt roweru i musiał się wycofać.

Warto dodać, że zwycięzca XIX Wyścigu Pokoju, typowany nawet na mistrza świata amatorów Bernard Guyot, był dopiero — 19. Najlepszy

z Belgów był Van Neste — 6 a wśród Włochów, Pisuari — 7. Wyścig był bardzo trudny. Do mety dojechało tylko 63 zawodników.

W wyścigu drużynowym na dystansie 100 km nie powiodło się Polakom. Liczono, że zajmą miejsce przynajmniej w pierwszej szóstce. Optymiści uważali na podstawie wyników zawodów kontrolnych, że Polacy wywalczą nawet i brązowy medal. Nic z tego. Na trasie na samym początku przewróciło się 2 zawodników Czechowski i Magiera, a Zieliński musiał zmieniać rower z powodu defektu. Drużyna straciła cenne sekundy. Mistrzowie świata Duńczycy wyprzedzili Polaków o 4.45 min. Francuzi zajęli czwarte miejsce, mając lepszy czas od Polaków o 3.36 min.

Na mistrzostwach świata torowców, w wyścigu na dystansie 1000 m ze startu zatrzymanego, dobrze pojechał Wacław Latocha, mistrz Polski. Zajął on 9 miejsce wśród najlepszych.



Elżbieta BEDNAREK, rewelacyjna płotkarka, legitymująca się czasem 10,6 sek na dystansie 80 m, już dwukrotnie w tym roku pokonała mistrzynię olimpijską Baltzer (NRD). Polską biegaczkę na złoty medal typowali jednogłośnie redaktor Gaston Meyer (Paryż), Wł. Otkalenko (Moskwa) i Z. Subert (Budapeszt)

Notatnik sportowca

PIŁKA NOŻNA

MONTCEAU-les-MINES. U.S. Blancy — C.S. Sanvignes 3:0. W spotkaniu towarzyskim drużyna Zabawskiego, mimo jego bardzo dobrej gry w bramce, poniosła porażkę. W Montceau wyróżnił się Mysza.

NOEUX-les-MINES. U.S. Noeux — La Bassée 3:1. Bardzo dobrze grali Pańczak, W. Aniol i M. Aniol. W przedmeczowej rezerwie wygrała wysoko rezerwa Noeux 5:0. W tym zespole wyróżnili się Jaskulski, Więcko i Strójwas.

BRUAY-en-ARTOIS. U.S. Bruay — Berck 1:2. Zespół z Bruay rozpoczął sezon meczem wyjazdowym w Berck. W zespole wystąpili m.in. Kanicki, Urbaniak, Korbiedzia, Kosso i Kaczmarek. Przy lepszym szczęście w strzałach Kaczmarek i Kosso wynik mógł być łatwo odmienny. Mimo przegranej panuje w drużynie nastrój optymistyczny na zbliżający się jesienny sezon.

MANCIEULLES. Mancieulles — Uckange 3:1. Najlepiej z obu zespołów grał Miódowski z Mancieulles.

HAYAGNE. Joëuf — Hayagne 2:0. Wyróżnił się Dominaki, który zdobył obydwa bramki, dzięki dobremu wypadom.

LONGWY. USB Longwy — Audun-le-Tiche 2:1. Mecz o puchar Herlory. U zwycięzców wyróżnił się Ziak, zaś w Audun bramkarz Paluszkiwicz.

DIVION. Zespół Olimpij z Divion przegrał w finale turnieju sierpniowego z reprezentacją wojskową z Arras w stosunku 2:1. Wyróżnili się w Olimpij Kaliszewski, Kowalski, Paternoga, Kaczmarewski, Kaczuska oraz Kościakowski. W drużynie wojskowych dobrze grał Szczepaniak. W meczu pokonanym, mimo dobrej gry bramkarza Szymczaka, Pogoń z Auchel przegrała z zespołem wojskowych, dla których bramki zdobył Marciniak. Wynik 2:0.

NA EKRANIE TV od 11 do 17 IX

PROGRAM I (première chaîne)

DZIENNIK — Télé-Midi o 13.00, Télé-Soir o 20.00 i Télé-Nuit na zakończenie programu między 23.10 a 23.55.

WIADOMOSCI LOKALNE o 19.40 — oprócz niedzieli.

PARIS CLUB o 12.30 z wyj. czwartku i niedzieli.

TINTIN — Skarb — oprócz niedziel o 19.25, w sobotę o 20.30.

NIEDZIELA 11 WRZESNIA

- 12.00 La séquence du spectateur.
- 14.00 Kuzynowie P. Desgraupes — Grona wiedzy.
- 14.30 *Elimare le bien-aimé* komedia-wodewil L. biche'a i Delacoura (R. Vattier, M. Marbulée, J. Raymond, A. Gilles, M.C. Mestral, F. Darry...).
- 17.00 Wioślarskie mistrzostwa Europy w Bled.
- 18.00 *Monsieur Fabre* film H. Diamant-Berger, (P. Fresnay, E. Labourdette, A. Randall, P. Boniface, P. Bertin).
- 19.00 Magazyn kobiecy Maité Célérier de Sanois.
- 19.30 *Moja ukochana czarownica* — kol. odc.
- 20.20 *Niedziela Sportowa*.
- 20.45 *L'homme de la plaine* film A. Mann (J. Stewart, A. Kennedy, D. Crisp, C. O'Donnel).
- 23.00 *Paris Jazz Festival*.

PONIEDZIAŁEK 12 WRZESNIA

- 18.30 Magazyn kobiecy Maité Célérier de Sanois.
- 18.55 Gry wakacyjne (dla młodzieży).
- 20.30 *Face a face*.
- 21.30 *La, la, la Georges Guetary au Canada*.
- 22.10 *Nieprzekupni*.

WTOREK 13 WRZESNIA

- 20.40 *Repos a Bacoli* — sztuka Pierre Moinot w realizacji J. P. Sassy.
- 22.05 *Musique pour vous*.

ŚRODA 14 WRZESNIA

- 18.25 *Sports Jeunesse* — Gymnastique féminine avec l'équipe de France féminine à l'I.N.S.
- 21.00 *Gry bez granic* Guy Luxa — finał.

CZWARTEK 15 WRZESNIA

- 20.30 *La piste aux étoiles*, G. Margaritis, orkiestra B. Hilda, realizacja P. Tcherina.
- 21.30 *Pour le Plaisir* — R. Stephane i R. Darbois.

PIĄTEK 16 WRZESNIA

- 18.25 *Międzynarodowy magazyn rolniczy*.
- 20.20 *Panorama* — tygodniowy magazyn aktualności TV.
- 21.30 *Au rendez-vous des souvenirs* — le héros de Dieppe.
- 22.00 *A vous de juger* — Monique Chapelle przedstawia nowe filmy.

SOBOTA 17 WRZESNIA

- 15.15 *Magazyn kobiecy*, Maité Célérier de Sanois.
- 19.25 *Melodie akordeonowe*.
- 21.00 *L'Echarpe*, cz. I sztuka F. Durbridge, w realizacji A. Isker (P. Michael, R. Pellegrin, E. Blain, P. Robers).

PROGRAM II (deuxième chaîne)

DZIENNIK — Télé-Soir — codziennie przed zakończeniem programu, około 22.00.

UN AN DÉJÀ — poniedziałek, środa, piątek o 22.00.

NIEDZIELA 11 WRZESNIA

- 18.45 *Mecz piłki nożnej*.
- 20.45 *La cuisine des anges* — sztuka A. Husson.

PONIEDZIAŁEK 12 WRZESNIA

- 21.30 *Moï un noir*, film J. Rouch nagrodzony Prix L. Delluc w 1959 r. (O Ganda, P. Touré, A. Maiga).

WTOREK 13 WRZESNIA

- 20.30 *16 milionów młodych*.
- 21.00 *Maurice de Paris* (nr 9) — Maurice Chevalier.

ŚRODA 14 WRZESNIA

- 20.30 *Echappée Belle*.
- 21.45 *Rady przyteczne lub zbędne*.

CZWARTEK 15 WRZESNIA

- 20.30 *Pour la suite du monde*, film kanadyjski P. Perrault i M. Brault.

PIĄTEK 16 WRZESNIA

- 22.05 *Ballade pour un pendu*, prezentuje Fred Astaire i Jany Paige.

SOBOTA 17 WRZESNIA

- 19.45 *Trois chevaux*, un tiercé.
- 21.00 *La, la, la Claude François* (M. Jazy, R. Couderc, M. Cogoni, les Fizz, S. Francis).
- 22.20 *Le nouveau cinema brésilien*.

TYGODNIK POLSKI La Semaine Polonaise

23, rue Taitbout, Paris IX
Tel.: TAI 76-44, TAI 76-51
C.C.P. 92.20 - 76 Paris

Przedstawiciel w Belgii

OL. KUC
179, rue des Hamendes
LODELINSART
C.C.P. 66.69.455 Belgique

Przedstawiciel w Polsce
RUCH — Warszawa
ul. Wilcza 46

Cena prenumeraty:

rocznie: 17 F. - 210 Fr. B.
półrocznie: 10 F. - 120 Fr. B.
kwartalnie: 6 F. - 10 Fr. B.

Directeur
de la Publication:
M. DARCHE

IMPRIMERIE
Zakład Graficzny „Ruch”
Varsovie, ul. Ludna 4

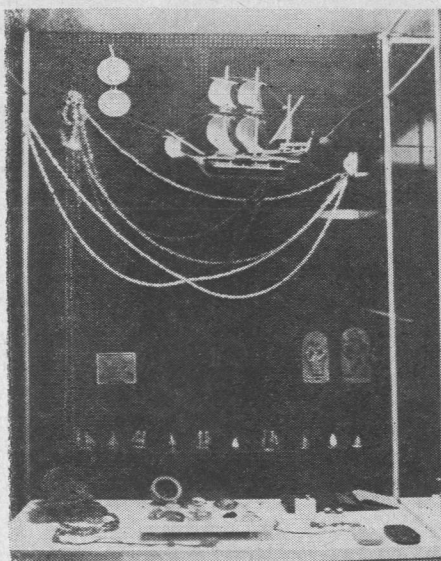
W NOWEJ CEPELII

BEZ „SOUVENIR” nie wraca się dziś z zagranicznej wycieczki. Zwykle jakiegoś drobiazgu, ale za to oryginalnego. Jeżeli celem wycieczki była Polska, jest to „souvenir” z Cepelii. Ta znana instytucja ma w swych bardzo licznych placówkach olbrzymi wybór oryginalnych pamiątek polskiej sztuki ludowej, od drobnych tak modnych dziś porte-clé, poprzez szeroki wachlarz innych, aż do kompletnych urządzeń wnętrz w stylach regionalnych.

Ostatnio w Warszawie otworzyła Cepelia reprezentacyjny dwukontynencyjny salon w gmachu z aluminium i szkła. Ten przezroczysty dom znajduje się jakby w centralnym punkcie stolicy Polski, na skrzyżowaniu ul. Marszałkowskiej i Alei Jerozolimskich. Jest to równocześnie skrzyżowanie dwóch głównych szlaków europejskich: z zachodu na wschód — z Paryża do Moskwy, oraz z północy na południe, tj. ze Sztokholmu lub Oslo do Belgradu czy Aten. Jest tam wszystko, co reprezentuje współczesna sztuka pamiątkarska. Najbardziej charakterystyczne motywy sztuki ludowej wszystkich regionów folklorystycznych Polski na wyrobach skórzanych (torbach, kierpcach, pasach góralskich), na artystycznych tkaninach, gobelinach, serwetach lnianych, pasiakach, tkaninach obciowych itp., itp. A ponadto świątki ludowe, szopki i kapliczki, ceramika i słynne laleczki: Mazowszanki i Ślązaczki, Góralki i Kaszubki. Każdy zapewne znajdzie tam odpowiednie dla siebie „souvenir de la Pologne”.



W centrum Warszawy, na skrzyżowaniu Alei Jerozolimskich i ul. Marszałkowskiej, znajduje się nowo otwarty pawilon CEPELII pełen pamiątek z Polski



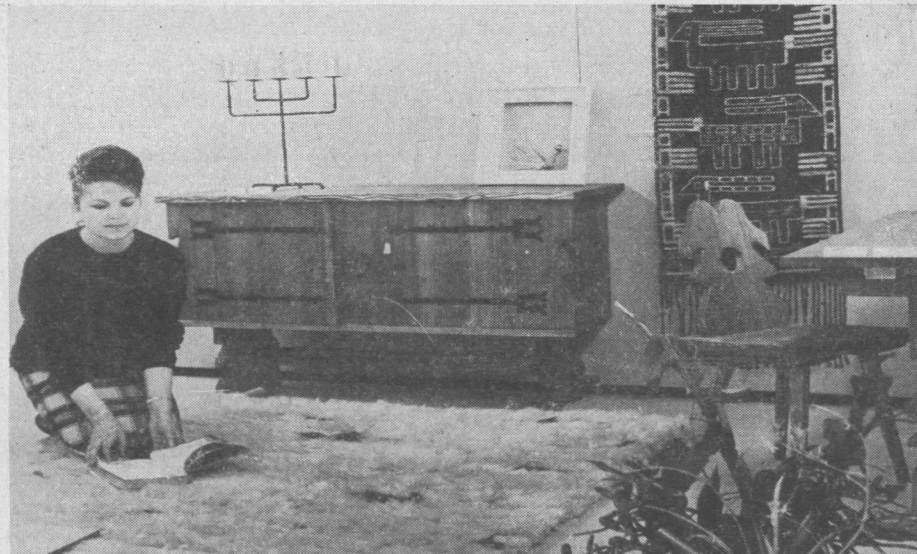
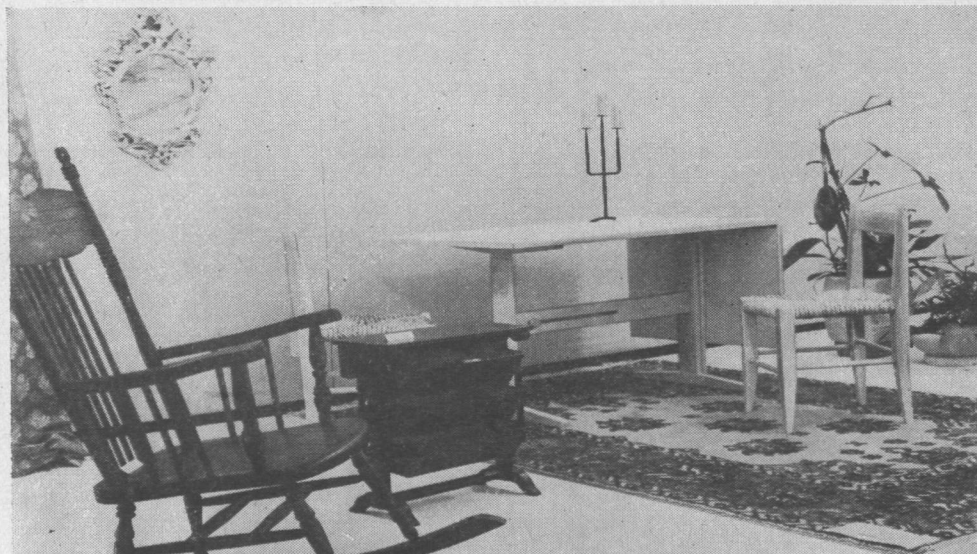
Artystyczne wyroby z jantaru — czyli bursztynu stanowią najbardziej charakterystyczne „souvenirs” z polskiego Wybrzeża: Gdańska, Gdyni i Sopotu

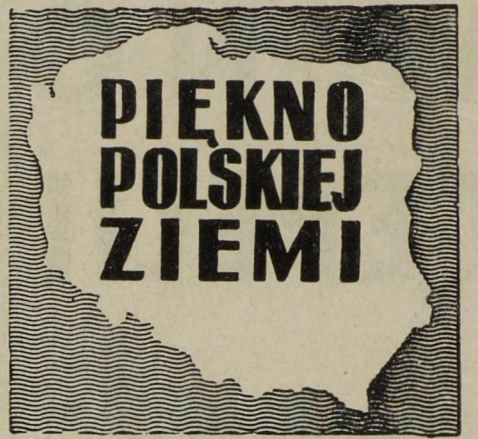


„Dla każdego coś miłego”. Z takim wrażeniem wychodzi się z CEPELII po zakupach i oględzinach wszystkiego — od porte-clé po meble, dywany i wspaniałe kobierce wzorowane na polskich motywach regionalnych (zdjęcia poniżej)



Można tam kupić zarówno modne i efektowne suknie wełniane (powyżej), jak i artystyczne świątki ludowe



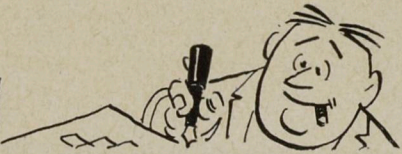


Żary, miasto powiatowe w woj. zielonogórskim jest malowniczo położone wśród Wzniesień Żarskich na stoku Kocich Gór. Miasto powstało na skrzyżowaniu starych dróg, tzw. „stonej drogi” łączącej Łużycę z Polską oraz ze Szczecina na Śląsk. Żary jako starożytna żupa „Zara” znane były już w XI wieku. Żupa ta należała do Bolesława Chrobrego od 1007 r.

W II wojnie światowej Żary zostały bardzo zniszczone, ale je odbudowano. W mieście jest kilka zakładów przemysłowych, a w okolicy kopalnie węgla brunatnego i hut szkła.

Z zabytkowych budowli zachował się zamek Dewinów (na zdjęciu), w którym projektuje się utworzenie muzeum.

ROZRYWKI UMYSŁOWE



LOGOGRYF

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15

Prosimy odgadnąć 15 wyrazów siedmioliterowych o podanych niżej znaczeniach i wpisać je pionowo do odpowiednich kratek rysunku. Dla ułatwienia podajemy, że wszystkie wyrazy rozpoczynają się na taką samą literę. Litery, które się znajdują w polach oznaczonych kółkami, czytane poziomo dadzą tytuł popu-

larnej książki dla dzieci Jana Brzechwy.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) rozmyślne, złośliwe robenie komuś przykrości lub trudności, 2) winowajca, 3) zmiana robocza w kopalniach, 4) wierzchołki górskie, 5) jeden z przednich zębów, 6) przysio-

wiowe na Lachy, 7) według piosenki dudni w niej woda, 8) kości twarzowe, w których osadzone są zęby, 9) artysta występujący solo, 10) przybrzeżne trzciny i sitowia, 11) szperka lub rodzaj wysypki na ustach, 12) spadochronowy śmiałek, 13) resztki podartego ubrania, 14) znawca rzeczy smacznych, 15) łopata, rydel.

Rozwiązania prosimy nadsyłać pod adresem redakcji w ciągu dwóch tygodni od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie „Rozrywki umysłowe”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali bezbłędne rozwiązania, zostaną rozlosowane **NAGRODY KSIĄŻKOWE**.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z PRZYŚŁOWIEM Z NR 34

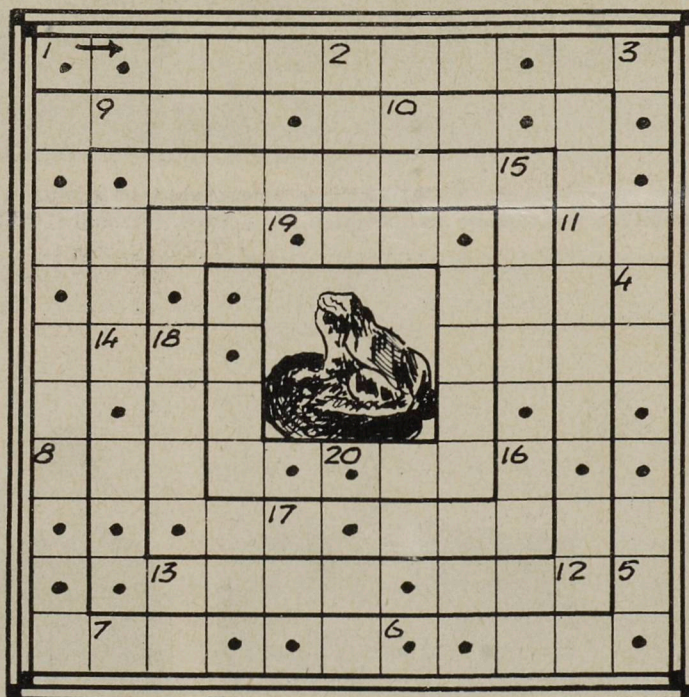
POZIOMO: 1) bywalec, 4) kaliber, 8) rygor, 10) soliter, 11) tandeta, 12) gonitwa, 13) narwaniec, 15) ankra, 17) pułap, 19) niedolega, 22) pozytyw, 24) wyprawa, 25) palacze, 26) drzwi, 27) ekstaza, 28) ćwika.

PIONOWO: 1) baryton, 2) lorneta, 3) cisza, 4) koligacje, 5) litania, 6) beret, 7) reklama, 9) generał, 14) innowacja, 16) krętacz, 17) papucie, 18) pętelka, 20) odpadki, 21) awaria, 23) zapas, 24) wieść. Tekst przysłówia: **MIEOŚC BEZ PIENIEDZY, WROTA DO NEDZY**.

SPIRALA Z PRZYŚŁOWIEM

Rozpoczynając od lewego górnego rogu i posuwając się w kierunku strzałki po linii spiralnej dośrodkowo — prosimy wpisać jednym ciągiem 20 wyrazów o podanych niżej znaczeniach, mając na uwadze, że ostatnia litera jednego wyrazu jest jednocześnie pierwszą literą następnego wyrazu. Litery, które się znajdują w polach oznaczonych kropkami, czytane w kolejności wpisywania dadzą tekst przysłówia.

ZNACZENIE WYRAZÓW: 1) miasto wojewódzkie i portowe u ujścia Wisły, 2) głąb kapuściany, 3) sklepienie niebieskie, firmament, 4) drętwienie zębów po kwasach, 5) niedokrwistość, 6) płat papieru, dykty lub blachy, 7) szarak, 8) stacja telefoniczna z łącznicą, 9) hetman kozacki, 10) uderz w stół a odezwą się, 11) mężczyzna ubierający się gustownie i modnie, 12) rodzaj podwójnej obręczy do naciągania na nią tkaniny przy hacie, 13) biuro fabryki, 14) nieporządek, bezład, rwetes, bałagan, 15) mały oddział harcerski, 16) kawałek drewna opałowego, 17) sprzyjająca okoliczność, 18) drogowskaz na kopercie, 19) zestawienia liczbowe podające ile przypada czegoś na głowę ludności, 20) uszkodzenie maszyny fabrycznej lub na statku.

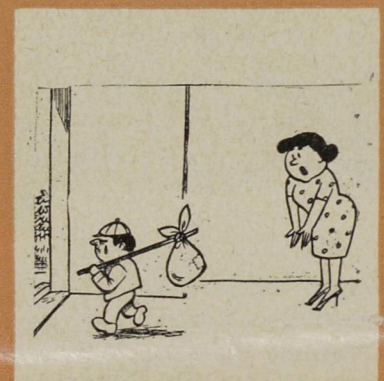


Idziemy do szkoły

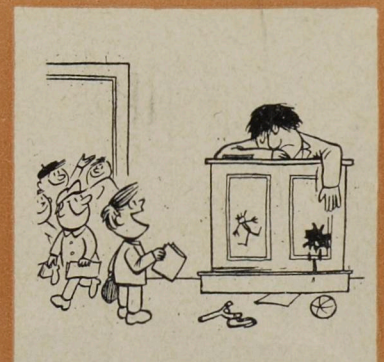
C'est la rentrée



— Ale pamiętaj, ty będziesz odrabiał matematykę.
— Bon, j'irais. Mais tu feras les devoirs de math...



— Bądź rozsądny! Przecież musisz iść do szkoły.
— Sois raisonnable, tu dois aller à l'école.



— No to on z nami długo nie wytrzyma!
— Chouette, il ne tiendras pas longtemps!